PRZED MATURĄ
przyda się na pewno!

POWTÓRKA Z POLSKIEGO

Już w tym numerze rozpoczynamy druk nowego cyklu materiałów dla młodzieży z klas X i XI
Autorzy: pracownicy naukowi Wydz. Humanistycznego UMCS

Fot. Stefan Czołżak

CENA 2 ZŁ

LUBLIN BIAŁYSTOK KIELCE RZESZÓW

Kamena

LUBLIN 10.XI.1968 Nr 23 (404) R. XXXV DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY Wychodzi od 1933 r.

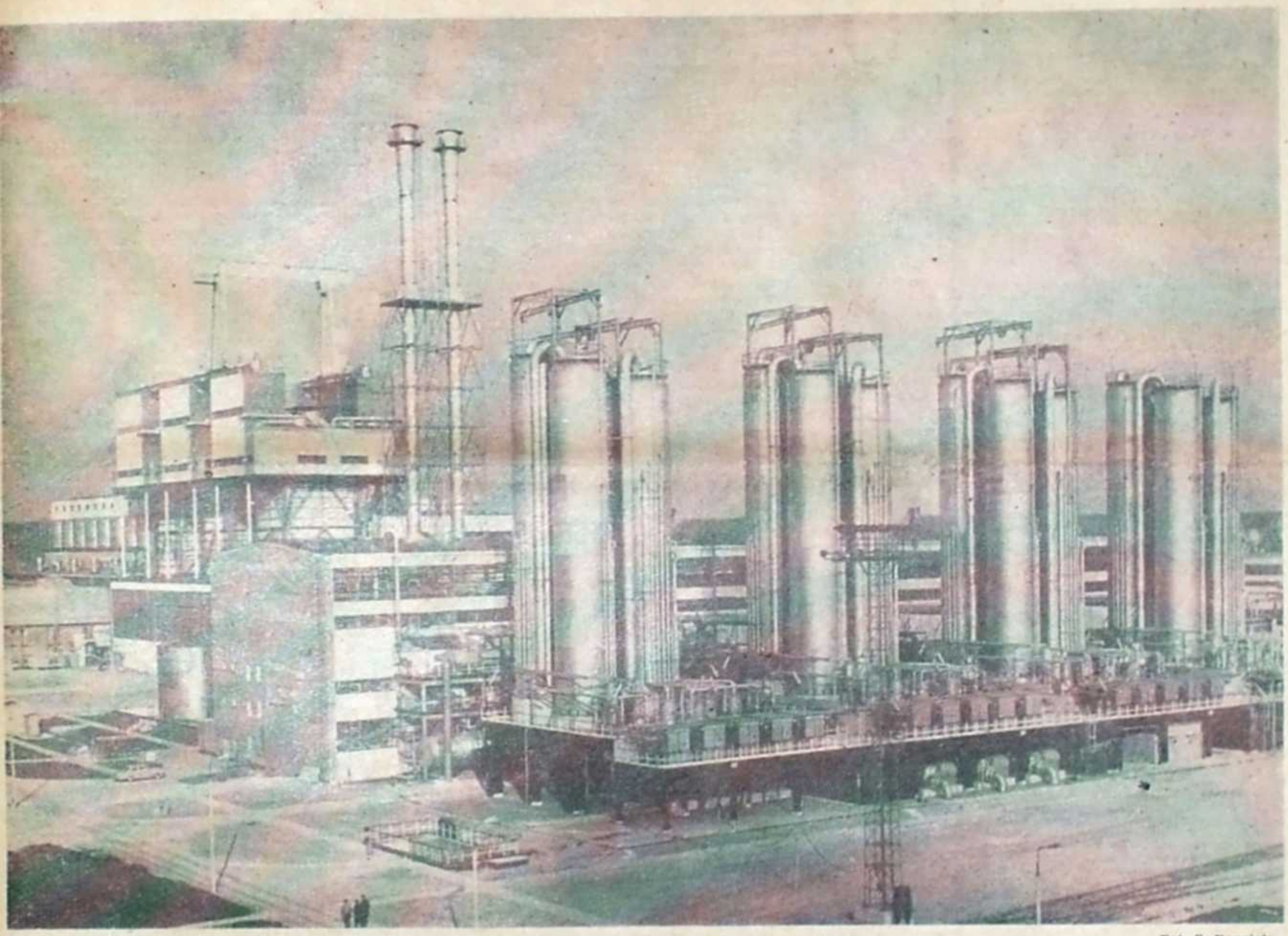

Fot. S. Papciak

Uchwały kolejnych zjazdów PZPR stale podkreślają konieczność szybkiego rozwoju sił wytwórczych kraju. W późniejszej praktyce oznacza to realizację wielkich inwestycji, które z jednej strony zwiększają produkcję naszego przemysłu, z drugiej przekształcają wsie, miasta i całe województwa.

Jedną z nich są właśnie Zakłady Azotowe w Puławach, największa inwestycja w woj. lubelskim pomiędzy IV a V Zjazdem. Na budowę jej wydatkowano już ponad 12 mld zł. Pracuje dotychczas — i to jeszcze w ramach rozruchu — tylko część kombinatu, a przecież wartość tegorocznej produkcji przekroczy 2 mld zł. Nie licząc budownictwa — w samym zakładzie jest zatrudnionych prawie 5 tysięcy osób. Liczba mieszkańców Puław zwiększyła się dwukrotnie, mimo różnych jeszcze braków jest to miasto zupełnie inne niż przed 10 laty.

I nie jest przypadkiem, że w Zakładach Azotowych co czwarty pracownik jest członkiem partii, że zrealizowane na cześć V Zjazdu zobowiązania załogi przekroczyły wartość 100 mln zł. Puławski kombinat bowiem jest symbolem zmian, które mogły stać się rzeczywistością tylko w ustroju socjalistycznym, które realizuje cały naród pod przewodem PZPR.

Dyskusja nad Tezami

O dialog z młodzieżą

Marek Adam Jaworski

PRZED chwilą obejrzałem w telewizji sprawozdania z kilku przedzjazdowych konferencji wojewódzkich PZPR. Gdy ten numer „Kameny" znajdzie się już na linotypach, odbędzie się konferencja lubelska, która także dokona wyboru delegatów na V Zjazd Partii. W dyskusji padnie zapewne szereg wniosków mających na celu usprawnienie naszej gospodarki, poprawienie stylu pracy organizacji partyjnych. Nie powinno zabraknąć i głosów — dały się one już słyszeć na konferencjach powiatowych — nawołujących do pogłębienia pracy polityczno-wychowawczej, której słabości odczuwaliśmy w dniach marcowych. Szczególnie będzie tu chodzić o młode pokolenie, ludzi urodzonych w Polsce Ludowej, mających start daleko łatwiejszy niż ich rówieśnicy z okresu Drugiej Niepodległości. Ów łatwiejszy start kryje jednak w sobie pewne niebezpieczeństwa.

W kraju budującym socjalizm w zasadzie nie ma już wyzysku człowieka przez człowieka. Likwidując podstawowe klasy wyzyskiwaczy, doprowadziliśmy do usunięcia głównych przyczyn rodzących burżuazyjne postawy. Nie oznacza to wcale, abyśmy mogli być całkowicie spokojni: przeżytki burżuazyjnych postaw trudno wykarczować za życia jednej generacji, zwłaszcza, że nie żyjemy w hermetycznie zamkniętym świecie. Ośrodki antysocjalistyczne nie szczędzą wysiłków, by utrudniać nasz marsz naprzód, by przeciwdziałać kształtowaniu się postaw socjalistycznych. Przypominają o tym Tezy na V Zjazd PZPR, w których m. in. czytamy: *Nawet pełna likwidacja klas antagonistycznych nie pociąga za sobą zaniku walki klasowej w procesie budownictwa socjalistycznego w danym kraju, gdyż po pierwsze, budowa socjalizmu w każdym kraju jest wyrazem walki klasowej z kapitalizmem światowym, który z kolei za pomocą środków masowego przekazu i w innych formach prowadzi ostrą walkę obliczoną na zniszczenie socjalizmu, i po drugie, nawet całkowita likwidacja materialno-ekonomicznej bazy dawnych klas posiadających, tj. uspołecznienie wszystkich dziedzin gospodarki narodowej, nie likwiduje automatycznie w świadomości wszystkich budujących socjalizm społeczeństw różnych aspektów ideologii burżuazyjnej, co z natury rzeczy ułatwia wrogom socjalizmu dywersyjną działalność polityczną i ideologiczną.*

Gdy mówimy o wychowaniu młodzieży, warto mieć na uwadze i to, że jej wybór ideowy dokonuje się

Dokończenie na str. 4

Literatura a wychowanie

Stanisław Frycie

JUŻ w najodleglejszych czasach zdawano sobie sprawę z przemożnego wpływu literatury na przekonania moralne i uświadamiano przy tym funkcję piśmiennictwa pięknego w szeroko pojętym procesie wychowawczym. Przekonaniu o olbrzymiej sile słowa pisanego daje wyraz między innymi Jan Parandowski w swej książce „Alchemia słowa", pisząc: *Magiczna siła słowa tkwi w jego zdolności wywołania obrazów. Jest ono niewidzialnym znakiem rzeczy spostrzeganych zmysłami. Na jego zaklęcia pojawiają się osoby, przedmioty dalekie lub nie istniejące, a bliskim i obecnym daje ono prawdziwą rzeczywistość.*

Przeświadczenie o wychowawczym oddziaływaniu utworu literackiego — w zasadzie powszechne — towarzyszyło i towarzyszy głównie działaczom politycznym i kulturalnym, pedagogom i psychologom, historykom literatury i pisarzom, polonistom i bibliotekarzom. Mimo sceptyczne opinie, diametralnie różne od cytowanej przed chwilą, w których podaje się w wątpliwość utarte od wieków mniemanie o magicznym oddziaływaniu słowa, współcześni badacze nie negują wychowawczej funkcji literatury. Aczkolwiek proces wychowawczego oddziaływania literatury jest niezwykle złożony i skomplikowany, i przy tym uzależniony od rozmaitych czynników natury politycznej, społeczno-kulturowej, psychologicznej, wreszcie od samego odbiorcy i dzieła literackiego oraz od epoki historycznej, to przecież trudno się zgodzić z pesymistycznym sądem Jacka Bocheńskiego, który w jednym ze swych publicystycznych artykułów

Dokończenie na str. 4

teatrnn.pl

Kultura 1968

Zmarli

● W Warszawie zmarł w wieku 69 lat Anatol Stern — poeta, prozaik, dramaturg, krytyk, publicysta i tłumacz, współtwórca polskiego futuryzmu. Wiele jego prozy zamieszczała „Kamena".

☼ Nestor historyków polskich, prof. dr Kazimierz Tymieniecki, emerytowany profesor Uniwersytetu A. Mickiewicza w Poznaniu. Urodził się w 1887 r. w Kielcach.

Literatura

☼ Tegorocznym laureatem nagrody Nobla został pisarz japoński Yasunari Kawabata, mający 69 lat. Debiutował w 1925 r. Przed czterema laty PIW wydał jego „Krainę śniegu". Do bardziej znanych powieści należą ponadto „Śpiąca piękność", „Tysiąc żurawi", „Szum gór". Jest on pierwszym japońskim pisarzem nagrodzonym przez akademię szwedzką. Wręczenie nagrody odbędzie się w Sztokholmie 10 grudnia.

☼ 26 osób oraz 7 zespołów otrzymało doroczne nagrody i wyróżnienia Ministerstwa Obrony Narodowej w dziedzinie literatury, małych form literackich i scenicznych, plastyki, muzyki i filmu.

☼ Na półkach księgarskich pojawiło się kilka nowych książek z oficyny Wydawnictwa Poznańskiego. Bestsellerem miesiąca jest „Makumba czyli drzewo gadające" Michała Choromańskiego. Jest to sensacyjna powieść nacechowana specyficznym humorem, której akcja toczy się w Brazylii.

● W warszawskiej siedzibie Penklubu odbyło się zebranie literackie ku czci Zofii Kossak-Szatkowskiej.

☼ Od roku 1959 następuje systematyczny wzrost liczbowy kół przyjaciół bibliotek. W porównaniu z rokiem 1959 wzrosły one o 216,8 proc. Mamy więc obecnie 3 438 kół, w których aktywnie działa ponad 49 tys. przyjaciół książek.

☼ Centralna Biblioteka Narodowa w Hanoi otworzyła szeroko swe podwoje dla wszystkich studentów, robotników i chłopów. Liczba książek szybko wzrasta dzięki rozszerzeniu się działalności wydawniczej, a także pomocy okazywanej ze strony państw socjalistycznych oraz wymianie publikacji z wieloma krajami. Biblioteka utrzymuje obecnie kontakty z ponad 150 tego typu placówkami w 48 krajach. Obszar zajęty przez sale czytelnicze zwiększył się trzykrotnie, a liczba czytelników podwoiła się. Ponadto istnieje ponad tysiąc terenowych i miejskich punktów bibliotecznych oraz 102 czytelnie. Liczba książek w tych bibliotekach przekracza 5 mln.

☼ Laureatem siódmego literackiego Grand Prix miasta Maine został lekarz Herbert Le Porrier za powieść „La Demoiselle de Charters". Poprzednio napisał on już siedem powieści i siedem sztuk teatralnych, nie porzucając praktyki lekarskiej.

☼ Pisarze szwajcarscy organizują w dniach 22—24 listopada spotkanie dyskusyjne na różne tematy literackie. W dyskusji będzie mógł zabrać głos każdy obecny na sali mieszkaniec Fryburga, gdzie odbędzie się spotkanie.

Teatr

☼ Teatr Dramatyczny w Warszawie otwiera nowy sezon sztuką „Kroniki Królewskie", zbudowaną z fragmentów różnych utworów St. Wyspiańskiego w układzie i reżyserii Ludwika René. Teatr ten posiada specjalne uprawnienia w sprawach finansowych — otrzymując dotację nie jest krępowany sztywnymi limitami w poszczególnych pozycjach.

☼ Nasze teatry coraz częściej sięgają po sztuki współczesnych autorów polskich. Teatr Rozmaitości wystąpił z prapremierą sztuki Zbigniewa Safjana „Strzeżcie się złodziei" nagrodzonej w ub.r. na konkursie zorganizowanym przez Wydział Kultury PRN w Krakowie.

☼ Warszawski Teatr Powszechny dał kilka przedstawień w Rumunii (m. in. w Bukareszcie pokazano „Don Juana"). W zamian zespół teatru bukareszteńskiego „Komedia" wystawił w Warszawie „Morderców bez poborów" Ionesco.

☼ Szwajcarski Theater am Neumarkt otrzymał nową salę. Środki na jej zbudowanie zdobyto w ten sposób, że na szereg lat naprzód sprzedano miejsca, którymi właściciele będą mogli rozporządzać po razie w czasie wystawiania każdej sztuki.

Muzyka

☼ Stołeczny Teatr Wielki obchodził w listopadzie dwa małe jubileusze: setne przedstawienie „Strasznego dworu" oraz setne „Halki".

● Filharmonia Wrocławska pod dyrekcją Andrzeja Markowskiego wyjeżdża do Drezna wraz z solistką Krystyną Szostek-Radkową. Filharmonia drezdeńska na koncert galowy w 1970 r. z okazji swego stulecia zamówiła utwór u Tadeusza Bairda.

☼ Scenograf Krzysztof Pankiewicz przebywa obecnie w Belgradzie. Na scenie tamtejszej opery przygotowuje oprawę scenograficzną do baletów: „Sebastian" Menottiego i „VI Symfonia" Czajkowskiego.

☼ Konstanty Kulka rozpoczął sezon artystyczny koncertami w NRF. Młody wirtuoz wystąpił w Wuppertalu, Monachium, Frankfurcie n. Menem (w tym mieście grał II koncert skrzypcowy Wieniawskiego) i Hamburgu. Z NRF polski skrzypek udał się do Luksemburga.

☼ W Hamburgu odbyła się prapremiera opery angielskiego kompozytora Humphreya Searle pt. „Hamlet". W ariach i recytatywach zachowano część oryginalnych tekstów szekspirowskich. Popisową arią tenora jest słynny monolog księcia duńskiego. Opera, która spotkała się z zainteresowaniem publiczności i krytyki, zostanie wkrótce wystawiona w londyńskim Covent Garden.

☼ Jednym z największych wydarzeń muzycznych ostatnich lat stała się światowa prapremiera nowego dzieła Luigi Dallapiccoli zatytułowanego „Ulisses". Operę tę, z udziałem ponad 40 śpiewaków, wystawiła „Deutsche Oper" w Berlinie. Fabuła została zaczerpnięta z homerowskiej wojny trojańskiej, lecz tytułowy bohater jest uposażowaniem wszystkich „ludzi niespokojnych", poszukujących sensu istnienia oraz prawdy. To nie Posejdon prześladuje wędrujących po mitycznych morzach, ale ich serca ciężkie od wątpliwości i udręki.

Sztuka

☼ Doroczną nagrodę dla dyplomantów wyższych uczelni w dziedzinie rzeźby otrzymał J. Kudziński z warszawskiej ASP za projekt pomnika „Upamiętnienie walk I Armii Wojska Polskiego w Puławach".

☼ Na konkursie plakatów, reklamujących uroki włoskiego jeziora Como, nagrody zdobyli polscy artyści: M. Strzelecki, J. Stanny i J. Mroszczak (wszyscy z Warszawy).

☼ W stolicy Estonii otwarto wystawę polskiej tkaniny, zorganizowaną przez Muzeum Historii Włókiennictwa w Łodzi. Wystawa zostanie następnie przewieziona do Leningradu i Rygi.

☼ Określeniem „surrealizm liryczny" recenzowano wystawę polskiego malarza Konstantego Gorbatowskiego w Dzielnicy Łacińskiej Paryża.

☼ W galerii „Svea" w Sztokholmie otwarto wystawę prac polskich malarzy współczesnych oraz obrazów i rzeźb tzw. artystów naiwnych. Podczas wernisażu odbył się koncert muzyki polskiej oraz pokaz filmu „Improwizacja", wyświetlanego nadal codziennie w lokalu wystawowym.

☼ Celem rozpoczęcia prac zmierzających do ocalenia rozsypujących się murów w Partenonu w Atenach UNESCO mianowało specjalną komisję ekspertów, złożoną z architekta francuskiego Sonniera oraz specjalistów belgijskich Lemaire i Sneyersa.

☼ Współczesny Sudak koło Teodozji na południowo-wschodnim wybrzeżu Krymu — Sóroz w czasach Rusi Kijowskiej — był w starożytności portem greckim Sugdea, fortecą bizantyjską, kolonią genueńską. Archeolodzy radzieccy prowadzący tu badania natrafili ostatnio na zbudowaną przez Bizancjum w VI w. basztę — relikt całego kompleksu fortyfikacji nadmorskich. Ta najstarsza część warowni Sugdei uległa zburzeniu między VIII a IX stuleciem podczas wyprawy na Taurydę księcia Brawlina z Rusi.

☼ Brazylia jest jedynym krajem na świecie, który posiada wyższą szkołę grawerstwa.

Różne

☼ Jedną z wielu form, pracy lokalnych stowarzyszeń kulturalnych stanowią społeczne komitety budowy obiektów kulturalnych. W r. 1967 w 835 komitetach zrzeszonych było ponad 10 tys. osób, pośród których dominowali rolnicy. W ubiegłym roku staraniem tych komitetów wybudowano i oddano do użytku 273 obiekty, co jest wyrazem poważnego i konkretnego wkładu w rozwój kulturalny kraju, zwłaszcza wsi często pozbawionych urządzeń dla działalności kulturalno-oświatowej.

☼ W okresie ostatnich 5 lat liczba telewizorów w Europie zachodniej — pisze londyński „Observer" — niemal podwoiła się. Obecnie jest ich 47 mln, a więc jeden aparat przypada mniej więcej na 5 osób. Przoduje pod tym względem Anglia, gdzie 1 odbiornik przypada na 4 osoby; mniej więcej tę samą liczbę osiągnęła NRF. We Włoszech jest więcej telewizorów niż wanien. Z krajów tzw. zachodnich tylko Grecja i Turcja nie mają telewizji. Ciągle jednak wielu intelektualistów chlubi się tym, że nie ma telewizora. Zwłaszcza we Francji ludzie zaliczani do elity w ogóle nie mają pojęcia o programach, które oglądają miliony ich ziomków.

☼ Stowarzyszenie dziennikarzy zagranicznych w Holandii wręczyło medal honorowy Helenie Vlachos, która przez wiele lat była wydawczynią kilku pism w Grecji, zamkniętych po ostatnim puczu pułkowników za sprzeciwianie się dyktaturze.

● Laureatkami Klubu Publicystyki Oświatowo-Wychowawczej Stow. Dziennikarzy Polskich zostały: Janina Borowska („Trybuna Ludu") oraz Kalina Godlewska („Słowo Polskie" — Wrocław), otrzymując II nagrody. Pierwszej nie przyznano.

Film

☼ Na II Międzynarodowym Festiwalu Filmów Sportowych i Turystycznych w Zagrzebiu film Ludwika Perskiego „RMC-67" uzyskał nagrodę „Srebrnej Patery", ufundowaną przez pismo „Sportska Tribina".

☼ W dniach od 28 października do 8 listopada odbyły się w całym kraju Dni Filmu Radzieckiego. Z nowych pozycji wyświetlano m. in. ekranizację „Anny Kareniny" z T. Samojłową w roli głównej.

☼ Aż trzy główne nagrody — za reżyserię, scenariusz i główną rolę kobiecą (Barbara Ludwiżanka) — na festiwalu w Panamie otrzymał „Sublokator" reż. Janusza Majewskiego.

Markiza Angelica — zagrożona! Ostatnio w Anglii pojawiła się groźna konkurentka! Oto Fiona Lewis, „zachwycająca, o uśmiechu Giocondy (!)", podobno bardzo utalentowana i bardzo „sexy". Gra główną rolę kobiecą w filmie „Wher's Jack?" (Gdzie jest Jack?). Akcja toczy się w londyńskich sferach przestępczych, na początku XVIII stulecia.

Kamena str. 2

ZYGMUNT CZYŻ, autor reprodukowanego linorytu pt. „Macierzyństwo", urodził się w 1939 r. Studia artystyczne Krakowie, w pracowni prof. Wacława Taranczewskiego. Dyplom uzyskał w 1964 r. Uprawia malarstwo sztalugowe i grafikę. Wystawy indywidualne — Rzeszów 1968 r., Opole 1968 r. Udział w wystawach zbiorowych: rzeszowskiego Okręgu ZPAP; Ogólnopolska Wystawa Młodego Malarstwa, Sopot 1965; II Wystawa 4 Województw (Białystok, Kielce, Lublin, Rzeszów), Lublin 1965; Ogólnopolska Wystawa Malarstwa „Jesienne Konfrontacje", Rzeszów 1965 (zakup MKiS), 1967; III Festiwal Współczesnego Malarstwa Polskiego, Szczecin 1966; Ogólnopolskie Wystawy Malarstwa i Grafiki „Jesień Bielska", Bielsko 1966, 1967; Ogólnopolska Wystawa Malarstwa „Eksperyment 67", Lublin 1967. Niektóre nagrody: II i III nagroda w konkursie „Pejzaż Rzeszowszczyzny" Rzeszów 1964; II nagroda w konkursie „Dziecko i jego świat", Rzeszów 1964; III nagroda na Ogólnopolskiej Wystawie Malarstwa „Jesienne Konfrontacje", Rzeszów 1967; III nagroda (malarstwo), I i III nagroda (grafika) w konkursie „50 rocznica Rewolucji Październikowej i 25-lecie powstania PPR", Rzeszów 1968.

Notes „Kameny" — Józef Barecki

Nierozerwalna więź

I

UWAGA społeczeństwa polskiego skupia się na V Zjeździe PZPR. Jest to doniosłe wydarzenie w życiu naszego kraju. Ta wysoka ranga listopadowych obrad wypływa z roli, jaką odgrywa partia w życiu narodu, ze znaczenia, jakie jej działalność posiada dla rozwoju naszej ojczyzny.

PZPR jest przodującym oddziałem klasy robotniczej i mas pracujących Polski, reprezentuje najżywotniejsze interesy i dążenia całego narodu. Zdobycie przez partię pozycji wyraziciela socjalistycznej świadomości społeczeństwa, kierowniczej siły politycznej państwa i organizatora budownictwa socjalistycznego nastąpiło w wyniku długoletniego procesu historycznego. Rewolucjoniści polscy przewodzili masom pracującym w walce o obalenie caratu, a po odzyskaniu niepodległości stali się siłą napędową walki przeciw niesprawiedliwości społecznej i zgubnej, antynarodowej polityce sanacji. W tragicznych dla Polski chwilach II wojny światowej komuniści wysunęli program walki o wyzwolenie narodu i społeczne skupiając wokół niego całe społeczeństwo polskie. Historia potwierdziła słuszność tego stanowiska. Partia klasy robotniczej okazała się jedyną siłą polityczną, która była w stanie nie tylko zorganizować walkę o odzyskanie niepodległości, ale dokonać takich przeobrażeń społecznych i nawiązać takie sojusze, które zabezpieczyły zdobytą wolność i zagwarantowały nieskrępowany rozwój kraju.

Doświadczenie dziejowe dowiodło, — czytamy w Tezach na V Zjazd — *że Polska może żyć, rozwijać się, jedynie jako państwo socjalistyczne, że może być państwem socjalistycznym tylko pod przewodem klasy robotniczej i jej partii — Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Partia nasza zarówno w swej roli historycznej jak i w swej codziennej polityce uosabia tę nierozdzielną jedność interesów ludu pracującego i narodu polskiego — jedność socjalizmu i niepodległości.*

II

V Zjazd uchwalił program działania partii i wytyczy jej linię generalną na nowy okres. Główne zarysy tego programu zawierają Tezy przedzjazdowe, ważny dokument ujmujący w sposób syntetyczny doświadczenia naszych ostatnich lat i miesięcy i kreślący na ich podstawie program dalszego rozwoju kraju.

Opublikowanie Tez otworzyło w partii i w całym społeczeństwie dyskusję przedzjazdową. Jest to jedna z ważnych cech stosunków istniejących między partią a narodem. Postępy socjalizmu w naszym kraju zależą w decydującym stopniu od aktywności mas, od rozwoju społecznej inicjatywy, od poczucia odpowiedzialności obywateli za sprawy kraju. Partia, która jest wyrazicielem interesów klasy robotniczej i wszystkich ludzi pracy, dąży do stałego podnoszenia znaczenia dyskusji i krytyki społecznej jako ważnego instrumentu demokracji socjalistycznej. Chodzi o to, aby decyzje dotyczące kierunków rozwoju naszego kraju, jak również późniejsza realizacja tych decyzji, były poddawane wszechstronnej ocenie i kontroli ludzi pracy. Chodzi o to, aby ludzie pracy w maksymalnym stopniu byli współtwórcami linii generalnej partii, całego jej programu działania, który będą później wcielać w życie.

Dyskusja nad Tezami objęła całe społeczeństwo, stała się faktycznie dyskusją ogólnonarodową. Przebiegała ona w sytuacji wielkiego ożywienia politycznego, w okresie politycznej aktywizacji społeczeństwa polskiego. Wpłynęło to na wzbogacenie tematyki dyskusji i wyeksponowanie problemów posiadających decydujące znaczenie dla rozwoju kraju.

W ciągu niecałego ćwierćwiecza Polska pokonała olbrzymi dystans historyczny. Odrobiła dawne zacofanie gospodarcze i zbudowała przemysł, którego produkcja 13-krotnie przewyższa produkcję przedwojenną. Ten dorobek ekonomiczny wymownie wyrażają światowe tabele statystyczne. Polska zajmuje 31 miejsce na świecie pod względem powierzchni, a 19 miejsce pod względem liczby ludności. Natomiast w produkcji podstawowych wyrobów przemysłowych przypadają Polsce wysokie miejsca: 4 — w wydobyciu węgla kamiennego, 6 — w produkcji energii elektrycznej, 8 — w produkcji statków, 9 — w produkcji stali surowej, 11 — w produkcji cementu. (Mały Rocznik Statystyczny, 1968). W dyskusji znalazła pełny wyraz troska o pogłębienie tego dorobku.

Przede wszystkim rozwinęła się wymiana poglądów o realizacji zadań gospodarczych końcowych lat obecnego planu 5-letniego. Ludzie pracy zastanawiali się nad tym, w jaki osób usprawnić działalność zakładów produkcyjnych, zwiększyć efektywność gospodarowania, polepszyć wskaźniki ekonomiczne, poprawić jakość i nowoczesność wyrobów, jak najskuteczniej przyczynić się do utrwalenia w świecie wysokiej pozycji ekonomicznej naszego kraju.

III

Istotne miejsce w dyskusji przedzjazdowej zajęły problemy ideologiczne, wynikające z określonej sytuacji międzynarodowej i wewnętrznej.

Siły imperializmu w walce z europejskimi krajami socjalistycznymi stawiają obecnie główny nacisk na dywersję ideologiczną, dostosowaną w swej formie propagandowej do konkretnej sytuacji w każdym kraju socjalistycznym. Te same wrogie ośrodki polityczne, które kiedyś stawiały na organizowanie walki zbrojnej reakcji w krajach socjalistycznych, dziś stosują nową taktykę walki z socjalizmem wspierając przede wszystkim wszelkie przejawy działalności rewizjonistycznej wewnątrz krajów socjalistycznych. Łączą one z rewizjonizmem nadzieję na wewnętrzne osłabienie partii komunistycznych, na sprowadzenie ich z drogi marksizmu-leninizmu i zahamowanie przeobrażeń socjalistycznych w kierowanych przez nie społeczeństwach.

Wydarzenia marcowe unaoczniły klasie robotniczej i całemu narodowi niebezpieczeństwo związane z nasileniem walki sił rewizjonistycznych i reakcyjnych, z zasięgiem ich wpływów w poszczególnych środowiskach społecznych. Ujawniły się opóźnienia zarówno w rozwijaniu teoretycznej myśli marksistowsko-leninowskiej, ofensywnej walki ideologicznej z przeciwnikiem, jak i w dziedzinie wychowania członków partii i kandydatów w duchu idei socjalistycznych oraz propagowania tych idei w całym społeczeństwie. Niekonsekwentne zwalczanie i eliminowanie wpływów rewizjonizmu spowodowało szczególnie dotkliwe spustoszenia w naukach społecznych, w środowiskach młodzieży wyższych uczelni oraz w niektórych środowiskach naukowych i kulturalnych. Z tego powodu w dyskusji przedzjazdowej poddano zasadniczej krytyce błędy i niedomagania w praktyce życia społecznego, które pozwoliły na osłabienie walki ideologicznej i zdobycie znacznych wpływów przez rewizjonizm.

Rewizjonizm — jak pisał jeden z uczestników dyskusji — charakteryzuje przede wszystkim fakt, iż jest to swoista forma antysocjalistycznej ideologii i praktyki, występująca wewnątrz lub na obrzeżach samej partii i dlatego stwarzająca pozory związku z ideologią i programem partii marksistowsko-leninowskiej. Dlatego nosiciele tendencji rewizjonistycznych w ramach partii stanowią szczególną groźbę. Utrzymując organizacyjne związki z partią uzyskują niejako szyld legalności dla swojej politycznej działalności.

I. Mieroszewski, reakcyjny emigrant polski i działacz antykomunistyczny, wyznał otwarcie, że z punktu widzenia interesów Zachodu jeden socjalista — heretyk wewnątrz partii marksistowskiej jest bardziej cenny niż dziesięciu zdeklarowanych antykomunistów poza jej szeregami. Rewizjonizmowi i rewizjonistom, tej „intelektualnej V kolumnie" jak ją nazwali autorzy studium krajowego komitetu partii republikańskiej USA przypadła rola konia trojańskiego, którego zadaniem stało się rozsadzenie od wewnątrz systemu socjalistycznego.

W dyskusji wskazano na rodowód ludzi, którzy stali się podatni na wpływy antysocjalistyczne. Nie jest sprawą przypadku — pisał Józef Lenart — że nauka klasowej treści naszego ruchu i socjalizmu w ogólności najtrudniej przychodziła pisarzom, artystom i środowiskom naukowym. Ludzie ci przenieśli do naszej formacji społecznej cały ogromny bagaż wartości kultury mieszczańskiej. Nie zawsze umieli wyrzucić z tego bagażu zbędny balast — za bardzo byli do niego przywiązani. Mieszczańska kultura była i często pozostaje dla nich najwyższym osiągnięciem ludzkości. I to ich wiąże mocnymi więzami — nie z klasą robotniczą, bo robotnik jest dla nich prostakiem niezdolnym pojąć spraw trudnych i niezwykle delikatnych... Wiąże ich to z kulturą burżuazyjną społeczeństw zachodnich, skąd przyjmują pozy i mody. Ale to co ich wiąże z burżuazyjnymi społeczeństwami Zachodu i przeszłości, oddala ich zarazem od twórczego życia naszego narodu, a zwłaszcza od klasy robotniczej i ideologii partii.

Wśród nich znalazło się wielu takich, którzy po nieudanej próbie dopisania się do socjalizmu, wrócili do swojej dawnej skóry. Może to być dobrze skóra burżuazyjnego liberała, kosmopolity, jak syjonisty i nacjonalisty.

W dyskusji podkreślano, że trzeba dokładnie wyjaśnić istotę rewizjonizmu, rozwinąć walkę z tym największym niebezpieczeństwem, grożącym partii i socjalizmowi, a jednocześnie opracować środki lepszego niż dotąd wychowania ideologicznego młodego pokolenia i wpływania na postawy twórców, kształtowania ich związków z socjalizmem i narodem. Chodzi o to, aby zlikwidować możliwość odradzania się tych tendencji politycznych w naszym kraju, które mogą stać się bazą dla przerzucania z Zachodu mostów dywersji ideologicznej.

IV

W dyskusji przedzjazdowej potwierdzona została jeszcze raz prawda, że w obecnej skomplikowanej i pełnej niebezpieczeństw sytuacji międzynarodowej konieczna jest zdwojona czujność wewnątrz kraju i zacieśnienie więzów jedności z obozem socjalistycznym — na zewnątrz. Ta współzależność między sytuacją wewnętrzną, a bezpieczeństwem kraju i jego pozycją w świecie stała się w ostatnich miesiącach szczególnie widoczna.

Imperializm nie rezygnuje ze swoich celów. Płonie wciąż wojna w Wietnamie, Izrael zagraża pokojowi na Bliskim Wschodzie, Niemcy zachodnie nie kryją się ze swoimi odwetowymi planami. Obóz socjalistyczny jest jedyną siłą zdolną przeciwstawić się tej polityce agresji, wzmagającej napięcie międzynarodowe i zwiększającej niebezpieczeństwo wybuchu konfliktu światowego. Z tego powodu imperializm pragnie osłabić naszą spoistość, pokłócić państwa socjalistyczne, osłabić naszą rolę w świecie.

Polska jest za jednością wspólnoty socjalistycznej, występuje przeciw próbom podważenia pozycji socjalizmu. Walka z antysocjalistycznymi tendencjami wewnątrz kraju i podjęte wspólnie z innymi krajami socjalistycznymi kroki dla obrony Czechosłowacji przed próbą wyrwania jej ze wspólnoty socjalistycznej, cała działalność naszej partii i naszego rządu jest potwierdzeniem tego stanowiska.

PZPR reprezentuje najżywotniejsze interesy naszego narodu, uosabia bowiem w swej ideologii i w codziennej praktyce nierozdzielną jedność interesów ludu pracującego i narodu polskiego — jedność socjalizmu i niepodległości.

Ta wzajemna więź partii i narodu, wypływająca z jedności socjalistycznych i patriotycznych dążeń jest gwarancją dalszych osiągnięć w budownictwie socjalistycznym, gwarancją dalszego rozwoju Polski.

Ta nierozerwalna więź partii z narodem zostanie jeszcze raz potwierdzona przez V Zjazd PZPR.

Z UCHWAŁ ZJAZDÓW PZPR

1948

Polski ruch robotniczy zjednoczył się po pięćdziesięciu z górą latach rozłamu.

Zjednoczył się po trzech dziesięcioleciach nowej historycznej ery, którą zapoczątkowała Wielka Socjalistyczna Rewolucja Listopadowa.

Zjednoczył się w okresie, gdy w następstwie klęski hitlerowskiego faszyzmu narody Europy środkowej i południowej, wyzwolone z jarzma niemieckiego przez Armię Radziecką, złamały panowanie kapitału i kroczą zwycięsko po drodze demokracji ludowej do socjalizmu.

Zjednoczył się w okresie, gdy władzę w Polsce po obaleniu panowania kapitalizmu sprawują już przeszło cztery lata masy pracujące pod przewodem klasy robotniczej.

[...] Partia walczyć będzie:

1. o stałe wzmacnianie władzy ludowej, o umacnianie pozycji klasy robotniczej, o wzrost bezpośredniego udziału mas ludowych w rządzeniu państwem, o wzmożenie walki z biurokratyzmem, o demokratyzację wszystkich ogniw aparatu państwowego;

2. o dalszą poprawę bytu najszerszych mas ludowych poprzez wzrost realnych zarobków, poprzez poprawę warunków mieszkaniowych i ulepszenie wszelkiego rodzaju świadczeń społecznych;

[...] 5. o wytępienie wszelkich form nacjonalizmu, który prowadzi do zwyrodnienia ruchu robotniczego i w konsekwencji godzi w żywotne interesy narodu...

6. o wyrugowanie ze świadomości mas ludowych przeżytków starego ładu, sobkostwa, demoralizacji, ciemnoty, przesądów i uprzedzeń wszelkiego rodzaju, o zaszczepienie i ugruntowanie w masach moralności socjalistycznej;

7. o wychowanie mas pracujących w duchu ofiarności dla Ojczyzny i w duchu prawdziwego patriotyzmu, który jest nierozdzielnie związany z proletariackim internacjonalizmem.

[...] Jednoczymy się jako awangarda polskiego proletariatu, jako przodująca siła narodu polskiego w jego marszu do socjalizmu, jako polski oddział międzynarodowego frontu wolności i postępu, demokracji i socjalizmu. Jednoczymy się, aby poprowadzić Polskę naprzód, do pełnej sprawiedliwości społecznej, do zniesienia wszelkiego wyzysku człowieka przez człowieka, do socjalizmu.

1954

[...] W okresie lat 1950—1953 realizując zadania Planu Sześcioletniego osiągnięto znaczny rozwój sił wytwórczych.

Poziom sił wytwórczych przekroczył znacznie poziom r. 1949 — ostatniego roku Planu Trzyletniego — i wielokrotnie przewyższył poziom przedwojenny.

W okresie tym nastąpił znaczny rozwój i umocnienie socjalistycznych stosunków produkcji w gospodarce narodowej. Sektor socjalistyczny osiągnął niemal wyłączność w przemyśle, transporcie i budownictwie, zdobył decydującą przewagę w handlu i poczynił znaczne postępy w rolnictwie.

Dzięki wysiłkom całego narodu i wszechstronnej pomocy Związku Radzieckiego, a także współpracy gospodarczej z krajami demokracji ludowej, zmieniło się oblicze naszego kraju, który przekształcił się już w kraj o wielkim i stale rosnącym potencjale gospodarczym.

[...] Drugi Zjazd Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej wzywa wszystkich członków partii, by wytrwale i nieustannie nieśli w masy nakreślony przez partię program działania, program szybkiego wzrostu poziomu życiowego mas pracujących, program, który jest wyrazem pokojowej woli i pokojowych dążeń narodu polskiego, walczącego wspólnie z całym obozem demokracji i socjalizmu pod przewodem Związku Radzieckiego o okiełznanie imperialistycznych sił agresji, o odprężenie międzynarodowe, o trwały pokój.

Drugi Zjazd Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej wzywa ogół robotników, pracujących chłopów i inteligencję pracującą do skupienia się wokół partii w szeregach Frontu Narodowego, do twórczej pracy w imię pełnego wykonania wytkniętych przez partię zadań budownictwa socjalistycznego, podniesienia dorobku i poziomu kulturalnego ludzi pracy oraz zwiększenia siły gospodarczej i obronnej naszej ludowej Ojczyzny.

1959

III Zjazd PZPR zatwierdza w całej rozciągłości linię polityczną nakreśloną w referacie sprawozdawczym Komitetu Centralnego wygłoszonym przez tow. Władysława Gomułkę.

Obecna linia polityczna partii, opracowana przez VIII Plenum KC i rozwinięta na następnych plenarnych posiedzeniach KC, zdała w praktyce egzamin.

Partia kierując się tą linią polityczną:

— ugruntowała jedność własnych szeregów i umocniła więź z klasą robotniczą i narodem;

— odparła ataki reakcji, usiłującej podważyć ustrój demokracji ludowej;

— przezwyciężyła dogmatyczne i sekciarskie błędy, które uprzednio ciążyły ujemnie na polityce partii;

— rozbiła rewizjonistyczne i oportunistyczne tendencje, które groziły rozbrojeniem ideowym partii wobec jej klasowych przeciwników;

— rozwinęła demokrację wewnątrzpartyjną i demokrację socjalistyczną w społeczeństwie, ugruntowała praworządność i podniosła autorytet władzy ludowej;

— podjęła skuteczne i owocne wysiłki w celu przezwyciężenia dysproporcji w rozwoju gospodarki i podniesienia poziomu życiowego robotników i pracowników; udoskonaliła system zarządzania i planowania w gospodarce narodowej, otwierając szerokie pole inicjatywie klasy robotniczej oraz kadr gospodarczych i partyjnych;

— zapewniła szybszy rozwój produkcji rolniczej, poprawę położenia wsi oraz, usuwając wypaczenia w stosunkach między państwem ludowym a wsią, umocniła sojusz robotniczo-chłopski.

[...] III Zjzad PZPR stwierdza, że w ciągu 14 lat istnienia władzy ludowej, w wyniku socjalistycznego rozwoju — Polska wydźwignęła się z zacofania i z kraju rolniczego przekształciła się w rozwinięty kraj przemysłowo-rolniczy. W ciągu tych lat dochód narodowy wzrósł 2,7 raza, co w przeliczeniu na 1 mieszkańca oznacza wzrost 3,2-krotny w stosunku do roku 1938.

Tak szybki i znaczny wzrost dochodu narodowego zapewniło socjalistyczne uprzemysłowienie kraju.

Zjazd stwierdza, że dzięki socjalistycznym stosunkom produkcji i wyższości gospodarki planowej został już zmniejszony w poważnej części dystans, jaki dzielił zacofaną w okresie kapitalistycznym gospodarkę Polski od gospodarki krajów rozwiniętych.

1964

IV Zjazd PZPR zatwierdza w pełni linię polityczną i działalność Komitetu Centralnego oraz aprobuje ocenę i wnioski zawarte w referacie sprawozdawczym, wygłoszonym przez tow. Władysława Gomułkę.

Zjazd stwierdza, że w okresie między III i IV Zjazdem:

— Realizacja zadań ekonomicznych, wytyczonych przez III Zjazd, przyniosła wybitny postęp w budownictwie socjalizmu w Polsce, w dalszym uprzemysłowieniu kraju, rozwoju rolnictwa i innych dziedzin gospodarki narodowej.

— Polityka zagraniczna Polski od III Zjazdu notuje szereg osiągnięć. Rozszerzyliśmy i umocnili przyjaźń i braterską współpracę ze Związkiem Radzieckim i innymi krajami socjalistycznymi. Rozwinęliśmy przyjazne stosunki z wieloma krajami nowo wyzwolonymi. Podnieśliśmy nasz autorytet na arenie międzynarodowej, broniąc aktywnie wielkiej sprawy pokoju i współpracy między wszystkimi narodami.

[...] Głównym kierunkiem rozwoju przemysłu jest uzyskanie szybkiego tempa wzrostu i wysokiego poziomu techniki w dziedzinach decydujących o poprawie wyników ekonomicznych i rekonstrukcji technicznej całej gospodarki, przede wszystkim w przemyśle maszynowym i chemicznym.

Konieczne jest rozwijanie przede wszystkim takich kierunków produkcji przemysłowej, które charakteryzują się małą materiałochłonnością i wysokim stopniem przetwórstwa lub zastępują tradycyjne, importowane surowce nowymi tworzywami.

[...] Głównym zadaniem rolnictwa jest przyśpieszenie wzrostu produkcji w celu poprawy wyżywienia ludności, zaopatrzenia przemysłu w surowce, utrzymania eksportu rolno-spożywczego i stopniowej likwidacji importu zbóż.

[...] Ważne zadania wychowawcze stoją także przed szkołami wyższymi. Szkoła wyższa winna dać krajowi specjalistów, rzetelnie przygotowanych pod względem fachowym, świadomych ideowo, oddanych sprawie socjalizmu i narodu. Obowiązek wydobycia walorów ideowych swojej dyscypliny naukowej i oddziaływania wychowawczego ciąży na każdym wykładowcy. Trzeba, aby nasza młodzież uczyła się nie tylko z książek, ale z rzetelnej praktyki i z życia społecznego. Zespolenie wysiłku wychowawczego szkół wyższych, organizacji partyjnych i samej młodzieży winno doprowadzić do takiego ukształtowania postaw młodej inteligencji, aby widziała ona perspektywę swojego rozwoju i pełnie własnego życia w działaniu zgodnym z interesami klasy robotniczej i całego narodu.

[...] Pragniemy, aby polska literatura i sztuka, zgodnie ze swą tradycją służenia sprawie narodu i postępu społecznego, towarzyszyły walce i pracy ludzi budujących socjalizm w Polsce, aby zaszczepiały w ich sercach nadzieję i wiarę w dzień jutrzejszy, aby zwalczały zło — odziedziczone z przeszłości czy zrodzone z konfliktów teraźniejszości — z myślą o zwycięstwie dobra, aby odzwierciedlały nie tylko dramaty, upadki i słabości człowieka, ale przede wszystkim jego twórczy wysiłek, jego dźwiganie się w górę, jego zdolność przeciwstawiania się żywiołowi i rzekomo fatalnemu losowi. Pragniemy, aby literatura i sztuka pokazywały prawdę życia bogatą i wielostronną, przeniknięta socjalistycznym humanizmem — przewodnią ideą naszej działalności. Nie powinno być natomiast miejsca dla utworów i sztuk, których wymowa ideologiczna i moralna wymierzona jest przeciw socjalizmowi.

Tak witała Lubelszczyzna Władysława Gomułkę w 1964 r. Fot. Janusz Urban

1938—1968 Rolnictwo

Przed V Zjazdem PZPR

GDYBY patrzeć tylko na efekty w złotówkach, można by dyskutować, czy Lubelszczyzna jest województwem przemysłowym, czy też rolniczym. W 1967 r. wartość produkcji globalnej przemysłu wyniosła bowiem 27 485 mln zł, a rolnictwa 22 954 mln zł, chociaż w niektórych latach poprzednich stosunek był odwrotny. Łącznie za lata 1963—67 po stronie przemysłu trzeba zapisać 110 mld zł, a po stronie rolnictwa minimalnie mniej — 107 mld zł.

Danych przedwojennych w tym ujęciu brak, a przeliczanie według zachowanych danych cząstkowych może być uważane za tendencyjne. Ale chyba podstawowym i w pełni porównywalnym wskaźnikiem jest wysokość plonów z hektara. I znów — aby uniknąć posądzenia o tendencyjność — porównajmy je z pięciu kolejnych lat, a więc w sytuacji, gdy wpływ wyjątkowo korzystnych lub wyjątkowo złych warunków atmosferycznych można uważać za wyrównany.

Tak więc wg rocznika statystycznego z 1939 r. (str. 78) plony pszenicy w latach 1934—38 wyniosły w woj. lubelskim przeciętnie 12,5 q/ha, natomiast według ostatniej publikacji WUS z okazji V Zjazdu (str. 68) w latach 1963—67 o ponad 40 proc. więcej — 17,8 q/ha. Analogicznie plony żyta — 11,4 i 15,9, jęczmienia — 12,2 i 19,7, ziemniaków — 136 i 162,4, buraków cukrowych 187 i 298,4. Tu dodać należy, że w Polsce Ludowej kilkakrotnie wzrosła powierzchnia upraw roślin przemysłowych — a więc tych, które potrzebne są bardzo innym gałęziom gospodarki, a rolnikom dają wyższy i stały — dzięki kontraktacjom — dochód. Tak np. powierzchnia uprawy tytoniu zwiększyła się z 1 569 ha do 13 047 ha, a buraków cukrowych z 12 tys. ha do 57 tys. ha.

Podobnie jest z produkcją zwierzęcą. Ze względu na różnice powierzchni województwa (przed wojną ok. 1 800 km² więcej) popatrzmy na wskaźnik — liczbę zwierząt na 100 ha użytków rolnych. I tak bydła hodowano 39,6 sztuki — obecnie 50,8, trzody chlewnej przed wojną 38,2 sztuk — obecnie 71,2. Podwoiła się nawet liczba owiec, a jedynie koni jest mniej, ale to jest wynikiem coraz szerszej mechanizacji prac w naszym rolnictwie.

Robiąc te porównania, trzeba pamiętać o bardzo nierównych startach. Po pierwszej wojnie światowej zniszczenia, szczególnie na wsi, były minimalne i można je było z naddatkiem nadrobić w ciągu kilku lat. Inaczej było po drugiej wojnie, bez porównania okrutniejszej i na naszej ziemi znacznie dłużej trwającej. Dokładnych statystyk, niestety, brak, ale wiadomo np., że w wyniku okupacji hitlerowskiej zniszczonych zostało na wsi kompletnie co najmniej 60 tysięcy budynków mieszkalnych i gospodarczych, straty w pogłowiu bydła rogatego wyniosły 34 proc., owiec 33 proc., trzody chlewnej 62 proc. Brak nawozów sztucznych i naturalnych spowodował znaczne wyjałowienie ziemi.

Jednym z pierwszych aktów władzy ludowej, który miał zasadnicze znaczenie zarówno polityczno-społeczne jak i ekonomiczne, była reforma rolna. Zapowiadał ją już rząd Daszyńskiego, obiecywały ją przeprowadzić kolejne rządy sanacji. Ale kończyło się na obietnicach. W całym wojennym dwudziestoleciu rozparcelowano zaledwie 13 tys. ha, licząc w tym także parcele budowlane. Realizacja Manifestu PKWN do końca 1948 r. objęła 823 majątki obszarnicze o powierzchni 324 tys. ha, co stanowiło 9 proc. obszaru rozparcelowanego w całym kraju. W wyniku tego utworzono ponad 70 tys. nowych gospodarstw, obdarzając nimi dawną służbę folwarczną i chłopów bezrolnych, ponadto powiększono 40 tys. gospodarstw.

Uczyniliśmy w latach następnych olbrzymi wysiłek inwestycyjny, aby unowocześnić rolnictwo, zmniejszyć wysiłek przy pracach rolnych, wprowadzić nowoczesne metody agrotechniczne. Nakłady inwestycyjne na rolnictwo (łącznie z leśnictwem) wzrosły z 764 mln zł w 1963 r. do 1 249 mln zł w roku ub., czyli o prawie 62 proc. Większą dynamikę wykazuje tylko budownictwo mieszkaniowe.

Trudno mówić o wszystkich dziedzinach rolnictwa. Trzeba jednak koniecznie powiedzieć jeszcze kilka słów o elektryfikacji wsi. W chwili wybuchu wojny zaledwie do 49 wsi docierał prąd elektryczny i to często z długimi przerwami, bo pochodził z prywatnych, lokalnych elektrowni przy tartakach czy fabryczkach. Dzisiaj w przodującym pod tym względem powiecie bełżyckim zelektryfikowanych jest 84,9 proc. wsi, a w zajmującym ostatnie miejsce pow. chełmskim — 55,9 proc. wsi. Z reguły jest to nie tylko światło, ale i energia elektryczna, poruszająca maszyny rolnicze.

Jerzy Dostatni

Na jakie prace historyków czekamy?

Ryszard Dunin

Upowszechniając na coraz szerszą skalę najcenniejsze wartości kultury polskiej i ogólnoludzkiej wzbogacamy życie duchowe narodu, zaspokajamy rosnące potrzeby społeczne.

Z Tez na V Zjazd PZPR

ODPOWIEDŹ na pytanie: gdzie leży prawda? zwykle sprowadza się do stwierdzenia, iż prawda leży pośrodku. Myślę, że reguła ta znajduje swoje potwierdzenie i w przypadku problemu, który zamierzam poruszyć na marginesie artykułu prof. dr Kazimierza Myśliński ego, artykułu opublikowanego w numerze 21 (402) „Kameny" z dnia 13 X 1968 r., pt. „O większe efekty pracy naukowej". Nie mam najmniejszego zamiaru ustosunkowywać się do roli, zadań i autorytetu naukowego lubelskiego środowiska, albowiem są to sprawy daleko wykraczające poza moje osobiste możliwości. Natomiast pragnąłbym podzielić się z czytelnikiem refleksjami, które nasunęły mi się po lekturze tego artykułu oraz zamieszczonej na łamach „Sztandaru Ludu" relacji z dyskusji dotyczącej problemów wydawniczych naszych środowisk naukowych. Szczególnie interesuje mnie sprawa, którą sformułował prof. Myśliński pisząc na łamach „Kameny": *Wydawnictwo Lubelskie, jak wiele analogicznych w kraju, nastawione jest na wydawanie książek innego niż naukowy profil, zwłaszcza beletrystyki, poezji, reportaży.*

W rozwinięciu tego tematu pragnę posłużyć się przede wszystkim faktami, a ponadto osobistymi dezyderatami właśnie pod adresem lubelskiego środowiska naukowego, w tym głównie humanistycznego.

* * *

Od chwili powstania regionalnego wydawnictwa (pierwotnie spółdzielczego) do 30 września 1968 r. opublikowano ok. 320 tytułów, które posiadają ponad 3 130 arkuszy wydawniczych i niemal 3 400 000 egzemplarzy nakładu. Jeśli uważny czytelnik weźmie do ręki opublikowane przez WL katalogi, to z łatwością stwierdzi, że ok. 80 tytułów stanowią prace naukowe i popularnonaukowe, oraz społeczno-polityczne, których autorami są pracownicy naukowi lubelskiego środowiska. Stanowi to więc około 1/4 zestawu tytułowego. Stosunek ten ulega wyraźnie poprawie, jeśli rozpatrzymy proporcje arkuszowe, bowiem prace naukowe i popularnonaukowe osiągnęły ponad 930 arkuszy, a więc niemal 1/3 ogólnego dorobku wydawniczego WL. Wyniki te uzyskano głównie po roku 1961, tj. z chwilą przekształcenia b. Lubelskiej Spółdzielni Wydawniczej w przedsiębiorstwo państwowe — Wydawnictwo Lubelskie.

Stąd też co najmniej dziwi milczenie, jakie wobec tych niewątpliwych osiągnięć wykazuje samo środowisko, z którego swój rodowód wywodzi kilkudziesięciu autorów prac opublikowanych w ramach planów wydawniczych WL. Z prostego bowiem przeliczenia wynika, że wydawnictwo opublikowało już ponad 20 000 stron maszynopisu naukowych i popularnonaukowych prac lubelskiego środowiska uczelnianego. Rzecz więc nie polega chyba na indolencji edytorskiej ale raczej na zupełnie innej kwestii, którą niebawem spróbuję wyjaśnić. Zanim jednak to uczynię, warto chyba podkreślić, iż w stosunku do globalnego nakładu egzemplarzowego książek WL (ok. 3,4 mln) nakład wydawnictw, których autorstwo wywodzi się z tegoż środowiska, wynosi ok. 90 000 egzemplarzy, stanowiąc zaledwie 2,5 proc. przy 24 proc. obciążeniu tytułowym i około 20 proc. obciążeniu arkuszowym. są to proporcje niewspółmierne dla zachowania równowagi rozrachunku gospodarczego przedsiębiorstwa państwowego i stąd WL musi uciekać się do różnego rodzaju łamigłówek edytorsko-finansowych, zabiegać o dotacje rad narodowych, korzystać z innych źródeł dofinansowania, poza rocznymi planami ekonomiczno-technicznymi.

Nie chciałbym być posądzony o ignorancję praw rządzących książką naukową na rynku czytelniczym i domagać się nakładu dla tego typu wydawnictw zbliżonych wielkością do literatury pięknej lub rozrywkowej. Pragnę jednak przy tym wskazać na pewne wyraźnie zarysowane symptomy niegospodarności arkuszami, którymi dysponowało lubelskie środowisko naukowe w dotychczasowym okresie.

Mając do dyspozycji ok. 930 arkuszy wydawniczych, wykorzystano je w następujący sposób:

— około 410 arkuszy na ciągłe publikacje zbiorowe, nakład 20 000 egz.,
— 215 arkuszy na jednorazowe publikacje zbiorowe, nakład 34 000 egz.,
— 115 arkuszy na wydawnictwa seryjne (zbiorowe), nakład 9 000 egz.

Łącznie więc na wydawnictwa o zbiorowym autorstwie zużyto 740 arkuszy. Natomiast na naukowe opracowania indywidualne pozostawiono zaledwie ok. 190 arkuszy wydawniczych przy jednoczesnym nakładzie tych tytułów w wysokości 27 000 egzemplarzy.

Warto więc zadać pytanie — dlaczego tak się dzieje? Skąd taka rozrzutność arkuszowa na wszelkiego rodzaju zbiorówki, a tak małe zainteresowanie publikacjami samodzielnymi?

W odpowiedzi pragnę podzielić się wyłącznie osobistym poglądem w tej kwestii, być może kontrowersyjnym, z pewnością niepopularnym. Jestem głęboko przekonany, że słuszny skądinąd postulat, głównie lubelskiego środowiska humanistycznego, uściślijmy — historycznego, dotyczący stworzenia lepszych warunków dla publikacji prac naukowych, nie posiada naturalnego źródła inspiracji, tj. takiej podaży prac autorskich, które umożliwiałyby selekcję i wybór prac najwartościowszych, a których współczesny ruch wydawniczy w Polsce, w tym także Wydawnictwo Lubelskie, nie jest w stanie wchłonąć.

Dla przykładu podam że w latach 1962—1967 środowisko humanistyczne skierowało do WL 83 poważne inicjatywy wydawnicze, które do dziś nie posiadają maszynopisów (patrz: Kronika Lubelskiego Oddziału PTH w „Rocznikach Lubelskich"). Dotyczy to oczekiwań wydawcy do dziś na takie prace, jak „Dzieje Lublina" t. II, których tom I ukazał się w roku 1965, na „Dzieje szkolnictwa i oświaty na Lubelszczyźnie" (zgłoszenie sprzed trzech lat), na prace zgłoszone, a dotyczące tak ważnych problemów, jak zarysu monograficznego ruchu robotniczego, historii niektórych miast, różnorodnych tekstów źródłowych, bibliografii historycznej Lubelszczyzny itp. Co więcej — inicjatywy te znalazły się w ogólnopolskich zestawach tytułowych publikowanych przez Departament Wydawnictw Ministerstwa Kultury i Sztuki i nabrały cech obowiązujących. Niestety, jak dotąd, sprawa zakończyła się na uzyskaniu opcji, z których wiele uległo przedawnieniu na skutek niepodjęcia prac edytorskich z uwagi na brak maszynopisów.

Mamy więc do czynienia z jednej strony z niezbyt racjonalną gospodarką arkuszową, z drugiej zaś z brakiem wysiłku autorskiego, który powinien być podejmowany w ślad za zgłoszoną inicjatywą wydawniczą.

Na zakończenie tej części artykułu chciałbym stwierdzić, że nie było i nie ma w chwili obecnej takiej sytuacji, by w biurkach redaktorów WL zalegały stosy maszynopisów prac autorskich lubelskiego środowiska humanistycznego. Wszystko, co dotychczas wpłynęło do wydawnictwa, zostało opublikowane, bądź znajduje się w produkcji. Do końca br. ukaże się na rynku czytelniczym dalszych kilka publikacji o łącznej objętości ok. 130 arkuszy wydawniczych, co pozwoli zamknąć dorobek edytorski z zakresu prac naukowych i popularnonaukowych ponad 1 100 arkuszami, a więc przeszło 24 000 stron maszynopisu.

Nie jest to sprawa błahstwa, uprawniająca do milczenia, a tym bardziej do wysnuwania nierzadko zbyt pochopnych wniosków, zważywszy na fakt, iż za tym, obok poważnego wysiłku edytorskiego, kryje się około 3 mln złotych wydatkowanych na koszta wytworzenia tych prac ze środków społecznych.

Jeżeli więc wokół dotychczasowych efektów edytorskich WL w dziedzinie historiografii trwać będzie ze strony samego środowiska, przecież najbardziej w tego typu publikacjach zainteresowanego, milczenie — to niebawem dojdę do najsmutniejszego ze smutnych wniosków, że zmarnowanych zostało ponad tysiąc arkuszy wydawniczych. A jest to przecież wielkość rocznej produkcji takiego np. wydawnictwa, jak Literackie w Krakowie.

Myślę jednak, że do tego nie dojdzie.

* * *

Prof. Kazimierz Myśliński, postulując stworzenie dogodniejszych warunków dla publikacji prac naukowych, ma niewątpliwie rację. Proponowane rozwiązania są może i właściwe. Wydaje mi się jednak, że istota sprawy nie leży tylko w nowych rozwiązaniach organizacyjno-edytorskich. Dotyczy ona natomiast przede wszystkim sfery produkcji autorskiej. Stwierdziłem poprzednio, że gospodarka arkuszowa, jaką prowadziło dotąd lubelskie środowisko humanistyczne, jest co najmniej dyskusyjna. Jej ukształtowanie wynika jednak, i to jest chyba bezdyskusyjne, z portfela autorskiego, jakim to środowisko dotąd dysponowało.

Aby stwierdzenie to odpowiednio uargumentować, odwołam się do następującego zjawiska. Z dużym zainteresowaniem obserwuję, więcej — nawet tropię z uporem, zarówno zgłoszenia autorskie, jak i zestawy tytułów opublikowanych przez cały polski ruch wydawniczy. Niestety, niezbyt często uzyskuję satysfakcję w postaci dostrzeżenia samodzielnego tytułu opatrzonego nazwiskiem autora z lubelskiego

O dialog z młodzieżą

Dokończenie ze str. 1

w innej sytuacji, w innych warunkach niż te, które miało pokolenie starsze. Ludzie, którzy mają poza sobą pół wieku życia, dojrzewali na przełomie dwóch epok społecznych. Własne doświadczenia, osobiste porównania pozwalają im częstokroć lepiej zrozumieć ogrom przemian, jakie zaszły w naszym kraju. Życie jest najlepszym nauczycielem.

Rozmawiam często z pedagogami, działaczami dźwigającymi szósty, siódmy krzyżyk. Niektórzy z nich wyrażają zdziwienie: *Jak to jest możliwe? Bezpłatne nauczanie, burzliwy rozwój kulturalny i sportowy, zlikwidowanie plagi bezrobocia, zniknięcie lęku o przyszłość. Nigdy w Polsce młodzież nie miała takich warunków jak obecnie. Jeszcze jej mało?*

W naturze ludzkiej tkwi chęć zdobywania, zresztą i świat nie stoi w miejscu. Kto ma „Trabanta", marzy o „Wartburgu", kto ma mieszkanie, chciałby mieć willę. Dla wielu Hindusów maksimum szczęścia wyraża się w pełnej misce ryżu raz na dzień. To, co dla młodego pokolenia Polski przedwrześniowej było szczytem pragnień — choćby znalezienie jakiejkolwiek pracy — dla młodzieży współczesnej jest rzeczą najbardziej naturalną. I tego nie zmienimy, zresztą zmienić nie chcemy. Bo m. in. po to właśnie wkroczyliśmy na drogę socjalistycznego budownictwa.

Inna rzecz, że młodzież lepiej powinna znać dzień wczorajszy. Trzeba jej podsuwać odpowiednią lekturę, ale trzeba też unikać „drętwej mowy", która więcej przyniesie szkody niż pożytku. Wychowania nie można po prostu „odfajkować", wymaga ono głębokich studiów, uczenia tych, którzy uczyć mają.

Ciągle napawa mnie troską stan przygotowań adeptów studiów nauczycielskich, zbytnia feminizacja tego jakże odpowiedzialnego zawodu. Tezy na V Zjazd zwracają uwagę na konieczność zwiększenia roli nauk pedagogicznych w rozwoju oświaty i szkolnictwa, mówią o potrzebie stopniowego przekształcania dwuletnich studiów nauczycielskich na trzyletnie wyższe szkoły nauczycielskie jako powszechną formę przygotowania nauczycieli szkół podstawowych. Partia wypowiada się za tworzeniem odrębnych zakładów kształcenia lub studiów pedagogicznych w uczelniach technicznych, rolniczych i ekonomicznych w celu przygotowania kadr nauczycielskich dla szkolnictwa zawodowego i wreszcie za przechodzeniem z dominującej dziś formy kształcenia młodej kadry naukowej w postaci asystentury na studia doktoranckie. Należy z aprobatą odnieść się do tych postulatów. Niemniej nadal istotną i węzłową sprawą jest to, kto podejmuje się nauczycielskiego zawodu. Czy będą to ludzie, którzy nie dostali się na inne studia i jedynie z tego powodu postanowili się poświęcić szkolnictwu, czy też ludzie mający wrodzony talent pedagogiczny, świadomie gotowi podjąć trud wychowawczy? Problem nie jest na pewno łatwy i wymaga też posunięć natury ekonomicznej.

Wychowuje dom, szkoła, organizacje młodzieżowe, wychowuje całe społeczeństwo, ale chyba zadania szkoły są tu największe. Dlatego szczególną uwagę należy zwrócić na odpowiednie przygotowanie absolwentów studiów nauczycielskich. Nie sądzę, abyśmy w tej mierze wyczerpali już wszystkie możliwości.

Niedawno, zupełnie zresztą przypadkowo, rozmawiałem z dwoma absolwentami dwuletniego studium nauczycielskiego, Poznaliśmy się w pociągu, nie ujawniłem im swego zawodu, uważam zresztą, że zachowanie incognito ma w wielu wypadkach pozytywne znaczenie. Wymienialiśmy zdania bardzo szczere, celowo starałem się być nieco prowokacyjny. Owszem, moi towarzysze podróży mieli spory zasób wiadomości, ale wiedzę książkową niezbyt umieli powiązać ze współczesnym życiem. Rzecz chyba nie w tym, aby absolwent studium nauczycielskiego znał przebieg pierwszej czy drugiej wojny światowej, umiał wymienić daty ważniejszych bitew czy też potrafił według podręcznikowego schematu scharakteryzować pojęcie internacjonalizmu.

Może trafiłem nie na typowych rozmówców, niemniej już niejednokrotnie spostrzegłem w czasie dyskusji z młodzieżą, iż posiada ona wiele wiadomości, brak jej jednak samodzielności myślenia, konstruowania wniosków. Czyżby mścił się werbalizm, który jest najgroźniejszym niebezpieczeństwem w socjalistycznym wychowaniu?

Ów werbalizm przejawia się również w działalności organizacji młodzieżowych. Muszę wyznać szczerze, że zawsze z obawą przysłuchuję się dyskusji na plenarnych posiedzeniach zarządów wojewódzkich ZMS i ZMW. Często to nie jest dyskusja, ale odczytanie uprzednio przygotowanego tekstu. Słowa są okrągłe, tak, aby nikogo nie urazić, aby się, broń Boże, nie wychylić. Nie chce się wierzyć, aby nikt nie miał żadnych wątpliwości, aby dla każdego wszystko było jasne. Konformizm też jest jakąś postawą, ale nie o taką postawę nam chodzi. Gdy następuje gwałtowne spięcie, niektórzy działacze młodzieżowi są zaskoczeni i wolą unikać trybuny. Chętnie natomiast przemawiają, gdy wiedzą, że mogą jedynie oczekiwać na — choćby grzecznościowe — oklaski.

Jestem, oczywiście, przygotowany na to, że mogę się spotkać z zarzutem, iż przejaskrawiam. Ale wielu działaczy w rozmowach przyznawało mi rację. Ba — twierdzili, że na przykład dyskusja w powiatach, w małych miasteczkach, w fabrykach, jest bardziej ożywiona niż na posiedzeniach plenarnych instancji wojewódzkich, że tam trzeba się często tłumaczyć, że argumenty trafiają na kontrargumenty, że trzeba replikować. A więc przypomnę starą prawdę: uczmy się od dołów!

Dobrze, że ostatnio tak wiele mówi się i pisze o patriotyzmie. W swoim czasie z niejednolitym oddźwiękiem spotkała się książka Z. Załuskiego pt. „Siedem polskich grzechów głównych". Niektórzy recenzenci potępiali „bohaterszczyznę". Można się z nimi zgodzić wówczas, jeśli „bohaterszczyznę" będziemy uważali za brak rozwagi politycznej. Ale przecież nie o to chodzi! W historii naszego narodu są takie wartości, które zawsze będziemy kultywować. Umiłowanie kraju, umiłowanie jego wolności, bohaterstwo, gotowość do wyrzeczeń, oddanie w razie potrzeby życia za ojczyznę — to przecież zawsze było, jest i będzie aktualne. Nasz socjalistyczny patriotyzm nie ma jednak nic wspólnego z szowinizmem narodowym, propagowanym przez naszą burżuazję i nie tylko zresztą naszą. Jeśli w czasach przedwrześniowych troszczono się o rozwój Ligi Morskiej i Kolonialnej, nie miało to żadnego związku z patriotyzmem, który my dzisiaj zaszczepiamy młodzieży. Socjalistyczny patriotyzm łączy się bowiem ściśle z internacjonalizmem. Socjalistyczny patriotyzm wymaga takiego samego stosunku wobec innych narodów. Nasz naród ma poza sobą piękną kartę sprowadzającą się do hasła „Za wolność naszą i waszą".

Wszystko to jest jasne, ale... Znów powołam się na rozmowę z jednym ze studentów UMCS, który gloryfikował niektóre ruchy studenckie na Zachodzie nie rozumiejąc, na czym polega ich anarchistyczno-syndykalistyczne zabarwienie. On sobie z tego zabarwienia nawet nie zdawał sprawy! A więc duże nieporozumienie, wynikające chyba ze słabości naszej publicystyki, podawaniu suchych informacji PAP-owskich bez głębszej analizy.

Młodzież łatwo się zapala. *Wam* — mówią do nas, starszych, dzisiejsi dwudziestolatkowie — *łatwo było być patriotami. Walczyliście na frontach z hitlerowcami, braliście udział w akcjach partyzanckich, później likwidowaliście bandy. Chodzicie w aureoli bohaterów. A co my mamy robić dzisiaj, aby zasłużyć na to miano?*

No tak — żyć dla ojczyzny wcale nie jest łatwiej niż za nią... umierać. Trudno czasem wytłumaczyć młodym studentom, że ich dobre wyniki nauczania to nie tylko zadowolenie własnych ambicji, ale swoisty przejaw patriotyzmu. Współczesnym bojem nad Wisłą może być niełatwa przecież, chociaż nieporównywalnie inna, budowa kombinatu puławskiego. Aby ten kombinat mógł powstać, musiała go poprzedzić styczniowa ofensywa.

Wprowadziliśmy w szkołach nowy przedmiot — wychowanie obywatelskie. Tezy na V Zjazd mówią o konieczności opracowania planu szybkiego przygotowania kadr pedagogicznych dla przedmiotów ideologicznych przewidzianych programami nauczania. Wychowanie obywatelskie nie może się jednak ograniczać do tego tylko przedmiotu. Doszlibyśmy do absurdu, gdyby polonista mówił: *Ja jestem od polskiego*, a chemik: *Ja jestem od chemii, a od wychowania obywatelskiego jest x czy y.* Za wynik obywatelskiego wychowania młodzieży odpowiedzialni są wszyscy pedagodzy niezależnie od tego, jaka jest ich specjalność.

Marks twierdził, że wychowywać dla przyszłości to znaczy włączać człowieka do aktywnej walki o tę przyszłość. A więc już w szkole trzeba młodego człowieka sposobić do zadań oczekujących go wówczas, gdy przyjdzie mu brać czynny udział we współrządzeniu krajem. W tym świetle problem obywatelskiego wychowania nabiera daleko szerszego znaczenia.

Zapewne na V Zjeździe Partii, w dyskusji jak i w uchwałach, sporo miejsca poświęci się młodzieży, która od nas przejmie kiedyś paleczkę — użyję tego porównania nasuwającego się w związku z olimpiadą — dziejowej sztafety. Zjazd, najwyższa władza partyjna, nałoży w tym względzie i na prasę określone zadania. „Kamena", tak jak i w przeszłości, tak jak i obecnie, będzie się nadal starała poświęcać wiele miejsca problematyce ideowo-wychowawczej w szerokim znaczeniu tego słowa. Z myślą o młodzieży szkolnej rozpoczynamy cykl przygotowany przez pracowników nauki Wydziału Humanistyki UMCS i mający na celu pomoc w lepszym przyswojeniu dorobku naszej literatury, jej postępowego nurtu. Będziemy wdzięczni za wszelkie uwagi i propozycje padające zarówno ze strony pedagogów jak i samej młodzieży. Tę ostatnią prosilibyśmy o częstsze listy do redakcji traktujące o codziennym życiu — troskach i wątpliwościach a nie tylko zawierające prośby o ocenę, przeważnie słabiutkich, utworów poetyckich. Nie chcielibyśmy, aby łamy naszego pisma były traktowane jak nasz monolog. Oczekujemy dialogu.

Marek Adam Jaworski

Dokończenie ze str. 1

(„Płacz Piotra Apostoła" — „Życie Warszawy" z 13 VII 1958 r.) obwieszczał: *Na nikogo, z wyjątkiem dzieci i osób całkowicie naiwnych literatura nie działa ani umoralniająco, ani demoralizująco przez podawanie tzw. przykładów „jak to bywa w życiu"... U nas ciągle jeszcze podejrzewa się literaturę o zdolność instruowania człowieka, którą ona nie rozporządza. Sam w prostocie ducha wierzyłem niegdyś w tę zdolność.*

Nie wdając się tutaj w merytoryczną polemikę z przytoczonym wywodem, pragnę stwierdzić, że tego typu skrajne sądy nie znajdują potwierdzenia w prowadzonych u nas i gdzie indziej badaniach socjologów kultury i pedagogów. Zarówno bowiem wywody obcych badaczy, m. in. W. Hofmanna, M. Rubakina, jak i naszych: S. Baleya, J. Pietera, T. Parnowskiego, A. Przecławskiej, H. Radlińskiej, M. Walentynowicz, R. Miller, nie negują swoistego oddziaływania książki na cały wewnętrzny świat myśli, doznań i odczuć człowieka.

Tadeusz Parnowski pisząc o funkcji wychowawczej literatury („Czytelnictwo dzieci i młodzieży w obliczu przemian", Warszawa 1961), konstatuje między innymi: (...) *oddziaływanie literatury pięknej jest to wpływ sui generis. Prawie z reguły ukazuje się on jako wpływ pośredni, często działający z opóźnieniem, pobudzany przez splot powstałych właśnie u czytelników warunków. Stąd też oddziaływanie książki jest uwarunkowane różnymi procesami materialnymi, społecznymi i psychicznymi.*

I dalej: *Pisane dzieło twórcy posiada w stosunku do czytelnika parę nawarstwień. (...) Może budzić zainteresowanie intelektualno-pojęciowe bądź ze względu na przedstawione w książce przekonania, bądź z uwagi na udramatyzowane procesy psychiczne lub przeżycia pobudzające wyobraźnię. Książka może być odebrana przede wszystkim jako dzieło artystyczne ze względu na walory obrazowe, kompozycyjne, na walory słowa lub siłę wzruszeń.*

Percepcja zawartych w dziele literackim treści i wywołane przez lekturę wzruszenia mogą w konsekwencji zrodzić czynną wobec spraw życia postawę i ukształtować nową zgoła osobowość. Historia literatury dostarcza nam licznych przykładów na potwierdzenie tej tezy. Przypomnijmy tutaj chociażby dzieje autentycznej Racheli, która pojawiła się w Krakowie, po ukazaniu się „Wesela", upodobniona do swego literackiego pierwowzoru.

środowiska humanistycznego. Rozumiem, że w warunkach lubelskich z uwagi na brak głębszych tradycji wydawniczych i ciągłej mierności zaplecza poligraficznego nie można uporać się z ilością i terminem publikacji według życzeń autorów, ale przecież w skali ogólnopolskiej możliwości te istnieją. Co więcej — stwierdzam, iż dobrych, ciekawych i zaangażowanych książek naukowych, popularnonaukowych, społeczno-politycznych i popularyzatorskich poszukują wydawcy w całym kraju. Stąd też podstawowy problem tkwi chyba nie w możliwościach wydawniczych, ale w braku odpowiednich do zapotrzebowania czytelniczego maszynopisów autorskich.

Sylwetka współczesnego czytelnika jest niezwykle ciekawa. Potrafi on bowiem nie tylko docenić rozmiar wysiłku autorskiego, ale zdawać sobie w pełni sprawę z rzędu trudności, które autor pokonuje, zarówno tych metodologicznych jak i technicznych. Dostrzega on z pewnością rozległość i rzetelność wiedzy zawartej w książce a przede wszystkim talent dydaktyczno-naratorski autora. Współczesny czytelnik pragnie jednocześnie uzyskać ze strony autora-naukowca pomoc w zrozumieniu tak kapitalnych problemów, jak złożoności ruchu świadomości historycznej i estetycznej, prądów biegnących autonomicznie, a jednak sprzężonych ze sobą, wybiegających naprzód i opóźniających się, nurtów jednoczących te więzy i rozluźniających je. Pragnie on poznać mechanikę ruchów społecznych wyznaczanych przez wewnętrzne prawidłowości ich budowy. W kontakcie z książką chce odnaleźć przyjacielską pomoc autora w poznaniu tajników procesu życia społecznego i estetycznego, które są mu dotąd niedostępne bez naukowych oświetleń, autora, który nie tylko panuje nad olbrzymim dorobkiem wiedzy ogólnej czy szczegółowej, ale przy pomocy swego talentu dydaktyczno-narratorskiego potrafi posiadaną wiedzę przekazać na użytek społeczny. Czytelnika ciekawi nie tylko prezentacja określonego zespołu poglądów, ale także osobisty stosunek do nich autora, przyjmuje stąd z dobrą wiarą te wątki myślowe, które jednocześnie kształtują sylwetkę autora-naukowca. Ten typ kontaktu przybliża czytelnika do twórcy dzieła, pozwala na wytworzenie atmosfery zbliżenia, a nawet intymności tak koniecznej czytelnikowi w obcowaniu z każdą książką posiadającą ambicje narratorskie.

Sprawa ta dyskutowana była m. in. na Kongresie Kultury Polskiej. Wysunięty wówczas postulat, aby książka posiadała jednocześnie wysokie walory poznawcze i popularyzatorskie, znalazł nie tylko szerokie poparcie, ale także w latach dalszych konkretną realizację zarówno w środowiskach twórczych (niestety pozalubelskich) jak i edytorskich.

Dlatego też uważam, iż jest rzeczą konieczną, aby lubelscy naukowcy odpowiedzieli sobie na pytanie — jak dalece tym dążeniom i tym potrzebom współczesnego czytelnika wychodzą naprzeciw? Jak tego właśnie typu głód czytelniczy zaspokajają? Będzie to jednocześnie odpowiedź, jakie książki powinny trafiać do wydawców i na rynek czytelniczy, a które, bez większej szkody społecznej, można spokojnie odłożyć do szuflady.

Muszę przyznać szczerze, że z wielką zazdrością czytam doniesienia prasowe o przyznawanych nagrodach w Warszawie za publikacje np. z dziedziny historii najnowszej. Marzy mi się wówczas lubelski „Rok czterdziesty czwarty". Myślę przy tym i, niestety, sam nie potrafię udzielić na to odpowiedzi: niechęć tematyczna to, czy niedostatek talentu narratorskiego w lubelskim środowisku? Brak opanowania warsztatu naukowego czy niechęć do popularyzacji. Możliwe, że jako czytelnik stawiam zbyt wygórowane żądania, ale buntuję się na myśl, że jeśli nie chcę być pozbawiony „Przepustki do historii", to muszę po nią sięgać do Warszawy.

Przeprowadziłem swego czasu dość kontrowersyjną rozmowę z jednym z lubelskich historyków. Argumentowałem wówczas, że popularyzacja wiedzy historycznej z zakresu historii powszechnej, ogólnopolskiej czy naszego regionu, nie może ograniczać się do wąsko specjalistycznych prac, po które czytelnik z reguły nie sięga. Potrzebne natomiast są książki typu popularyzatorskiego, które posiadają wprost nieograniczone zaplecze czytelnicze. Historyk ów bronił się wówczas argumentem, że obniża to rangę naukową książki. Myślę jednak, że tak nie jest. O randze naukowej bowiem nie świadczy jej wyposażenie w pełny aparat edytorsko-naukowy, ale chyba zawarte w niej treści merytoryczne, będące owocem badań naukowych i własnych przemyśleń autora. Można więc przekazać czytelnikowi „piłę" z zakresu np. archeologii i można też temat ten ująć w taki sposób, że będzie wzbudzał zachwyt i powodował kolejki w księgarniach, bez naruszenia zasady naukowego znaczenia tej publikacji. Przykładów z tego zakresu jest wiele. Weźmy choćby z dziedziny historii książkę prof. dr Stefana Kieniewicza pt. „Historia Polski. 1795—1918".

Uczony w prześwietnej tej publikacji naukowej potrafił wykazać, jak to słusznie zauważa Jan Górski w recenzji książki zamieszczonej w „Życiu Warszawy" z 29—30 IX br., iż podmiotem historii stają się coraz większe masy ludzkie, że stale wzrasta liczba działających — *zaangażowanych w Polsce jest więcej w powstaniu styczniowym niż w listopadowym, a w r. 1905 więcej niż w 1863.*

Historia najnowsza Polski potwierdza to całkowicie. Nieporównywalnie bowiem więcej było owych zaangażowanych w latach II wojny światowej.

Kwestię tę, w naszych warunkach i to w dość istotnej mierze, podjęli już młodzi lubelscy historycy w formie publikacji „Źródeł i materiałów do dziejów ruchu oporu na Lubelszczyźnie", ale czytelnik w dalszym ciągu oczekuje na wszechstronne syntetyczne opracowanie lat 1939—1944, nie tylko więc okresu okupacji, ale także wysiłku zbrojnego w okresie kampanii wrześniowej, co wydawnictwo zasygnalizowało już książką Ludwika Głowackiego.

Prof. Kazimierz Myśliński w dyskusji zamieszczonej na łamach „Sztandaru Ludu" stwierdza: *środowisko naukowe musi wydawać książki: wieloarkuszowe, poważne prace i pozycje drobniejsze, pojedyncze lub zbiorowe.* W stwierdzeniu tym można odczuć tendencję preferowania tytułów wąskotematycznych, a więc dla nielicznego kręgu czytelniczego. Natomiast nie znajdujemy tam żadnego, choćby najmniejszego sygnału o podjęciu przez lubelskie środowisko naukowe poczynań popularyzatorskich, które by wychodziły naprzeciw zapotrzebowaniom współczesnego czytelnika. Co więcej — stwierdzenie, iż Wydawnictwo Lubelskie broni się przed takimi pozycjami w obawie przed „niechodliwością" tego — jak nazwał — towaru, jest chyba nieadekwatne. Albowiem nie chodzi przecież tutaj o objętość pracy, o dużą lub małą ilość arkuszy, ale — powracając do przykładu książki prof. Stefana Kieniewicza — o jej percepcję społeczną, a więc zaspokojenie określonych potrzeb czytelniczych. Stwierdzenie więc, że duża pozycja jest niechodliwa, nie znajduje w praktyce potwierdzenia. Jest, i to sporo, książek, które wyszły spod pióra lubelskiego środowiska 3—5 arkuszowych, będących także „niechodliwym towarem", posiadają bowiem poważny osad egzemplarzowy w sieci księgarskiej. Natomiast Wydawnictwo Lubelskie słusznie, moim zdaniem, postępuje broniąc się nie przed dużą lub małą arkuszowo pozycją (nie to jest ważne), ale przed tytułami, których czytelnik nie poszukuje.

W cytowanych wyżej Tezach na V Zjazd PZPR wyraźnie mówi się o potrzebie upowszechnienia i to w coraz szerszym zakresie najcenniejszych wartości kultury polskiej i ogólnoludzkiej. To bowiem, jak to pięknie formułują Tezy, wzbogaci życie duchowe narodu, zaspokoi rosnące potrzeby społeczne.

Dążenie więc regionalnego ośrodka wydawniczego do sprostania tego typu potrzebom społecznym jest nie tylko rzeczą pożyteczną, ale wręcz konieczną.

Niestety, tego właśnie typu wydawnictw nie sposób wyszukać w Lublinie. Prace bowiem lubelskiego środowiska humanistycznego cechuje głównie przyczynkarstwo, brak jest natomiast dzieł syntetycznych i popularyzatorskich. A przecież region nasz posiada wiele „białych plam", które nie znalazły dotąd odzwierciedlenia w gotowej produkcji autorskiej oraz wydawniczej. Dotyczy to zarówno takich tytułów jak: „Monografia historyczno-geograficzna Lubelszczyzny", „Monografia miast lubelskich", „Monografia wsi lubelskiej", „Monografia ruchu robotniczego", „Monografia radykalnego ruchu chłopskiego", czy choćby zarysu monograficznego powstania i kształtowania się władzy ludowej na Lubelszczyźnie, walki z reakcyjnym podziemiem, reformy rolnej i unarodowienia przemysłu na Lubelszczyźnie itp. Natomiast obserwuje z dużym niepokojem, że głównym źródłem inspiracji wydawniczej lubelskiego środowiska humanistycznego nie są zamówienia czytelnicze, ale prace uniwersyteckie: magisterskie, przewody doktorskie, habilitacje, a więc te, które są owocem działalności naukowej przede wszystkim na użytek ośrodków uczelnianych w kraju. Stają się one głównie przedmiotem przetargów wydawniczych, zabiegów o dotacje rad narodowych, powodują powstawanie różnego rodzaju szarad edytorsko-finansowych. A przecież książka posiadająca zapotrzebowanie czytelnicze nie musi u nas w kraju sięgać do tego typu środków. Sama bowiem potrafi wybronić się przed tymi zabiegami. Nie spotkałem w Polsce wydawcy, a znam ich sporo, który by bronił się przed interesującą książką naukową.

W tej sytuacji, wobec stale narastającego zapotrzebowania czytelniczego na literaturę popularyzatorską z jednej strony, z drugiej zaś niewątpliwej potrzeby społecznej w zakresie druku prac o wąskiej specjalności na użytek zawężonego kręgu czytelniczego, ten drugi problem, moim skromnym zdaniem, należałoby rozwiązać przy pomocy małej poligrafii. Przygotowanie edytorskie i gospodarka egzemplarzowa spoczywałaby w rękach ośrodków uniwersyteckich, natomiast informację naukową z tego zakresu powinien dostarczać regularnie jeden z polskich ośrodków naukowych w postaci odpowiednio przygotowanych i rozpowszechnianych zestawów bibliograficznych.

Przy okazji powyższych refleksji pragnę, obok wyrażonego już poglądu na sylwetkę współczesnego czytelnika, przedstawić także swój osobisty pogląd, dla jasności sprawy, na sylwetkę współczesnego badacza-historyka.

Jako konsument efektów badań naukowych widzę w pracowniku nauki przede wszystkim przewodnika po tajnikach wiedzy i prawdy naukowej w zakresie historii powszechnej, Polski czy regionu.

Aby pomoc ta była dla mnie w pełni efektywna, nie powinna ograniczać się do penetracji i opracowania źródeł ze zbyt wąskich okresów dziejów oraz analizy zjawisk historycznych oddzielnie traktowanych. Dla mnie bowiem, jako odbiorcy, rzeczą istotną jest, aby kwestie te były traktowane integralnie z uwzględnieniem tych wszystkich powiązań i uwarunkowań, które zjawiskom historycznym towarzyszą, w ramach i na tle możliwie najszerszej panoramy stosunków społeczno-gospodarczych i politycznych prezentowanego okresu.

Pragnę więc otrzymać ze strony badacza pomoc, która obok pomnażania dorobku historiografii powszechnej czy polskiej będzie możliwie wszechstronnie wzbogacać moją wiedzę osobistą, a więc poziom świadomości jak najszerszego kręgu odbiorców, do którego siebie zaliczam.

Ponieważ znam osobiście znakomitą większość lubelskich historyków, wiem, iż niektórzy z nich reprezentują w tej kwestii pogląd zbieżny z moim poglądem.

Warto więc w aspekcie całej złożoności omówionych problemów dokonać w najbliższym czasie gospodarskiego „rachunku sumienia" w lubelskim środowisku humanistycznym. Pozwoli to w przyszłości na bardziej racjonalną gospodarkę tymi możliwościami wydawniczymi, które w Lublinie istnieją i stale rozszerzają się, a jednocześnie umożliwi zarówno środowisku naukowemu, jak i lubelskim wydawcom, coraz pełniejsze kształtowanie wiedzy, wyobraźni i świadomości współczesnego czytelnika, która powinna odpowiadać coraz adekwatniej nowym, socjalistycznym stosunkom społecznym, w jakich działają dziś zarówno pracownicy naukowi jak i wydawcy w Polsce Ludowej.

Ryszard Dunin

Literatura a wychowanie

Przypomnijmy także dzieje recepcji „Zbójców" F. Schillera i stworzone przez pisarza postaci, które były tak sugestywne, że powodowały powstawanie młodzieżowych band leśnych pod znakiem Karola Moora. A i nasza współczesność obfituje w tego typu zjawiska, jak tego dowodzi m. in. recepcja „Czterech pancernych" w wersji filmowej i zrodzony przez ten utwór ruch młodzieżowy.

Powyższe przykłady i cytowane tu opinie nie tylko że nie podważają, ale wręcz przeciwnie — potwierdzają rozpowszechnione od dawna przekonanie o wychowawczym oddziaływaniu piśmiennictwa pięknego. Literatura piękna była bowiem zawsze nauczycielką życia i oddawała walne usługi w kształtowaniu narodowej świadomości.

Tkwiące immanentnie w literaturze pięknej idee i treści wychowawcze, które bardzo często — jak tego dowodzi chociażby ostatnia inscenizacja „Dziadów" — ujawniają się w sposób zgoła nieoczekiwany, nigdy jednak nie oddziaływały na ludzkie serca i umysły w sposób samorzutny i automatyczny. Potrzebne i nieodzowne jest tutaj pośrednictwo instytucji szczególnie predestynowanej do upowszechniania narodowych dóbr kulturalnych. Owym pośrednikiem między dziełem sztuki a odbiorcą była zawsze — prócz domu rodzicielskiego, prywatnego nauczyciela, a później teatru, prasy, radia i telewizji — szkoła. To ona wybierała zawsze z ogromnego skarbca narodowej kultury te treści, które najlepiej służyły wychowaniu narodowemu. To ona, oddziaływając wychowawczo za pośrednictwem kierowanego czytelnictwa, propagowała poszczególnych autorów i ich dzieła i interpretowała spuściznę literacką pisarzy zgodnie z duchem epoki — z wychowawczymi postulatami klas i grup społecznych kierujących w danej chwili dziejowej państwem. Nie należy się więc dziwić, że bardzo często w dawnej Polsce, w klasowej rzeczywistości społecznej, pewne treści ideowe, zawarte w postępowym nurcie naszego piśmiennictwa narodowego, nigdy nie docierały do młodego pokolenia. Działo się tak dlatego, ponieważ w sposób świadomy były one eliminowane ze szkolnego wychowania. Troszczono się bowiem o to, aby literatura nie zarażała się duchem rewolucjonizmu, aby nie buntowała przeciw krzywdzie klasowej we własnej ojczyźnie. W naszej współczesnej rzeczywistości te właśnie eliminowane ongiś idee i myśli, zaklęte w literackich wizjach, mogą i powinny w pełni stać się instrumentem socjalistycznego wychowania.

Wydaje się, że jedną z podstawowych wartości moralnych w socjalistycznym systemie etycznym jest gorące umiłowanie wolności. Nie idzie jednak tutaj o jakąś wolność absolutną i abstrakcyjną, lecz odpowiednio uwarunkowaną szeroko pojętym interesem narodowym bądź tej grupy społecznej, która ów naród reprezentuje. Walczyli o wyzwolenie człowieka z feudalno-kapitalistycznych więzów, o jego naturalne prawa do ludzkiej egzystencji, Modrzewski i Staszic, Mickiewicz i Żeromski, walczyli o wolność polityczną romantycy i inni pisarze porozbiorowej doby — walczyli jednak nie o abstrakcyjnie pojętą ideę, ale o wolność zdeterminowaną klasowo i politycznie — w interesie narodu bądź określonych klas społecznych. Tę fundamentalną prawdę powinna uzmysławiać młodzieży właśnie szkoła za pośrednictwem dzieła literackiego w procesie kierowanego czytelnictwa.

Problematykę wolnościową w piśmiennictwie pięknym można także rozważać w aspekcie społecznym. Żarliwy protest pisarzy przeciw krzywdzie społecznej, jako składowy element szeroko pojętych idei wolnościowych, może posłużyć do kształcenia głębokiego humanitaryzmu i humanistycznej wrażliwości na ludzkie cierpienie. Owa humanistyczna wrażliwość powinna stać się trwałym elementem świadomości społecznej młodzieży, cechą i przymiotem moralnym człowieka naszych czasów. Literatura piękna nie może bowiem służyć li tylko do rozszerzania wiedzy młodzieży o niesprawiedliwych stosunkach w dawnej Polsce. Utwory Modrzewskiego, Staszica, Mickiewicza i Żeromskiego we współczesnej szkole muszą także oddawać znaczne usługi w kształceniu społecznej wrażliwości. Dlatego też problematyka społeczna w dziełach koryfeuszy naszego piśmiennictwa powinna być omawiana w aspekcie moralnym, w szerokich wymiarach ogólnoludzkich.

Wreszcie do niebagatelnych spraw w procesie moralnego oddziaływania za pośrednictwem literatury należy wychowanie patriotyczne. Miłość ojczyzny, służba dla kraju, tak jak ją ongiś pojmowali nasi wielcy pisarze — zdeterminowana sytuacją historyczną i warunkami politycznymi, w jakich przyszło żyć narodowi polskiemu — ma dziś dla nas jedynie wartość historyczną. Mickiewiczowski patriotyzm był np. przydatny w warunkach niewoli politycznej, współcześnie zaś, zdewaluowany politycznie, może być funkcjonalny z wychowawczego punktu widzenia jedynie w sensie moralnym. Stąd też liczne na przykład cechy i przymioty etyczne bohaterów Mickiewicza, Prusa, Orzeszkowej, Żeromskiego mogą i powinny być akceptowane także w naszych czasach. Czynne wobec życia i zaangażowane w służbę dla narodu postawy bohaterów romantycznych, pozytywistycznych, bohaterów Żeromskiego mogą stanowić doskonałe antidotum dla postaw biernych i aspołecznych. Mały heroizm, pojmowany jako służba społeczna dla grupy, dla środowiska, wreszcie dla kraju całego jest także potrzebny ludziom naszych czasów, potrzebny tym bardziej, albowiem coraz częściej, wbrew społecznemu interesowi, w mentalności wielu młodych ugruntowują się przekonania, że poświęcenie i rezygnacja z własnych, egoistycznych celów na rzecz celów nadrzędnych, ogólnospołecznych — tak znamienna dla postaw Siłaczek i Judymów — jest przeżytkiem i anachronizmem. Walne usługi w przekształcaniu postaw biernych i aspołecznych powinno i może oddać nie tylko nasze zaangażowane piśmiennictwo współczesne, ale również dzieła wybitnych twórców z minionych epok.

Pośrednikiem między piśmienniczą sztuką i olbrzymią rzeszą młodzieży była zawsze szkoła. Powinna ona pilnie obserwować życie i wybierać z dzieł literackich te treści, które najpełniej mogą służyć socjalistycznemu wychowaniu. Troska o oblicze duchowe młodych to troska o przyszłe oblicze kraju. Pięknie wyraził przed laty tę myśl znany reformator czasów oświecenia, Stanisław Staszic, pisząc: Takie Rzeczypospolite będą, jakie ich młodzieży chowanie. Trzeba o tej prawdzie pamiętać w roku V Zjazdu Partii.

Stanisław Frycie

Archeologia ciągle... młoda

Artur Bata

POLSKA Ludowa dynamicznie rozwijając wszystkie gałęzie gospodarki poczesne miejsce przyznała kulturze narodowej.

Chciałbym zwrócić uwagę na najbliższą mi dziedzinę kultury, a mianowicie na archeologię. W zakresie szeroko zakrojonych i długofalowych badań archeologicznych nie pozostała w tyle i Kielecczyzna. Rezultaty systematycznych badań na terenie Wiślicy i okolic dowodzą, jak wielką pracę na tym odcinku wykonano.

Badania archeologiczne związane z obchodami Tysiąclecia Państwa Polskiego nie zakończyły się wraz z zakończeniem uroczystości milenijnych. Są tych obchodów kontynuacją, bardzo konkretną i realną, której konsekwencją już dzisiaj jest przesunięcie na wcześniejsze lata początków państwowości na terenie Małopolski.

Wyniki z lat 1966—1967 i najnowsze odkrycia w Polsce potwierdzają opinię, że archeologia jest wciąż jeszcze u progu swej świetności i rozkwit tej nauki wróży zasadnicze zmiany w ustalonych poglądach historyków, przyniesie zapewne prawdziwą rewolucję w podręcznikach historii, szczególnie średniowiecza. Dowodem tego są dotychczasowe rezultaty badań w Wiślicy, które m. in. przesuwają: powstanie pierwszego organizmu o charakterze państwa na koniec wieku IX; pojawienie się chrześcijaństwa (obrządku wschodniego) na tych terenach na koniec wieku IX; powstanie pierwszych budowli sakralnych na połowę wieku X. Poza tym zmieniły one zakorzenione poglądy na sytuację polityczną na ziemiach Słowian u schyłku wieku IX i na początku wieku X. Warto wspomnieć też o badanych materiałach pozwalających na poznanie osadnictwa wczesnośredniowiecznego na Ziemi Wiślickiej.

W strefie nie naukowej archeologia przyniosła też małej osadzie Wiślicy nowe, lepsze życie. Konsekwencją odkryć była budowa dróg, szeregu budynków użyteczności publicznej, rozwój turystyki. Tyle dokonano na niewielkim skrawku Ziemi Wiślickiej, a ogółem w 1967 r. przebadano w Polsce około 600 stanowisk archeologicznych. W tym samym czasie nasi archeolodzy pracowali w Jugosławii, ZRA, Francji, NRD, Czechosłowacji, ZSRR, Rumunii, Szwecji, Syrii, na Węgrzech itd. Wszędzie z dużym powodzeniem, dzięki wysokim umiejętnościom fachowym, które nabyli w polskich placówkach naukowych. Młode, niezwykle aktywne i prężne pokolenie archeologów w ciągu ostatnich dziesięciu lat dokonało więcej niż zrobiono w międzywojennym dwudziestoleciu.

W parze z badaniami idą obfite i stojące na wysokim poziomie publikacje. O samych tylko pracach wiślickich ogłoszono dotąd drukiem osiem poważnych pozycji, tłumaczonych już częściowo na języki francuski i angielski.

Wiślickie Muzeum, gromadzące rezultaty badań, bogaci się systematycznie o nowe eksponaty, staje się coraz atrakcyjniejsze dla turystów, dla młodzieży szkolnej, jest placówką oświatową o szerokim zasięgu. Te osiągnięcia nie mogą jednak przysłonić faktu, że oczekuje nas jeszcze ogrom pracy, której starczy i na przyszłe pokolenie. Widzimy też niedociągnięcia i mankamenty. Do nich należy szczupła i nie zawsze fachowa obsługa placówek muzealnych w terenie, nie liczące się z rzeczywistością bezplanowe kształcenie przez uczelnie nowych archeologów, dla których coraz częściej brak miejsc pracy. Poza tym wciąż jeszcze szwankuje koordynacja prac z historykami, wzajemne niedocenianie osiągnięć i zbyt oporne i nieśmiałe wprowadzanie do badań najnowszych metod, uwzględniających zdobycze innych, ścisłych dziedzin nauki. Aby jednak osiągnąć stan dzisiejszy, trzeba było przejść trudną drogę. I tę drogę, dzięki obecnym warunkom polityczno-społecznym, przeszliśmy. Dalsze cele na wyznaczonym szlaku są jasne i zrozumiałe dla każdego. W oparciu o ustrój sprawiedliwości społecznej rozwijać i poszerzać zdobycze powojennej nauki na każdym odcinku, zbliżać ją do społeczeństwa jeszcze bardziej, aby stała się bliska i potrzebna każdemu człowiekowi.

W 150-lecie urodzin Iwana Turgieniewa

Wielkość nieprzemijająca

Maria Bechczyc-Rudnicka

NAD wszystkich klasyków rosyjskich — powieściopisarzy cenię Dostojewskiego i Turgieniewa. Jest to dziś niewątpliwie odosobnione stanowisko czytelnicze. Światowa opnia publiczna XX wieku przyznała pierwsze miejsce w literaturze rosyjskiej ex aequo z Dostojewskim — Tołstojowi. I może byłoby bezpieczniej zastąpić wyraz cenię słówkiem lubię, lecz zdecyduję się chyba raczej na użycie obydwu.

A więc — cenię i lubię.

Rzecz w tym, że czas, jak wiadomo, nieuchronnie dokonuje periodycznych przecen wielkości. Otóż wielkość Turgieniewa była dla jego współczesnych aksjomatem literackim. Jego mistrzowsko realistyczne, subtelnie prawdziwe pisarstwo odkryło światu Rosję, zainteresowało nią Europę. Turgieniewem zaczytywała się Francja, Anglia, zaczytywały się Włochy, Niemcy. Przekład „Zapisków myśliwego" ukazał się w „Revue des Deux Mondes prawie bezpośrednio po ukończeniu druku w rosyjskim czasopiśmie „Sowriemiennik", francuskie wydania powieści „Rudin" i „Szlacheckie gniazdo" dzielą od rosyjskich dwa — trzy lata, „Ojców i dzieci" — zaledwie rok. I tak dalej.

Pisarstwo Turgieniewa znajdowało zwłaszcza u francuskich krytyków wyjątkowe zrozumienie i podziw. Najgorliwszy jego popularyzator, Prosper Mérimée, zwracał szczególną uwagę na precyzję obserwacji autora „Ojców i dzieci", na obiektywizm, wynikający z żarliwego zamiłowania do prawdy, na głęboki humanizm, który kazał pisarzowi doszukiwać się w najbardziej zgnuśniałym człowieku cechy podnoszącej go moralnie.

Dzięki Turgieniewowi Europa poznawała naród rosyjski i rosyjską literaturę. Nie dość tego: Turgieniew wywierał wpływ na literaturę europejską. *Wszyscy powinniśmy przejść przez taką szkołę* — powiedziała kiedyś szczerze George Sand.

Ukazanie się na światowym horyzoncie literackim Dostojewskiego i Tołstoja bezsprzecznie odsunęło Turgieniewa w cień. Lecz wyłączając dzieło autora „Braci Karamazow", ten fenomen literacki niedościgle rewelacyjny w skali światowej, można chyba z pewną dozą prawdopodobieństwa wyrazić przypuszczenie, iż jakiś czas przyszły wyrówna jeszcze rangę pisarstwa Turgieniewa i Tołstoja, sądzę bowiem, że o przewadze geniusza z Jasnej Polany zadecydowała w głównej mierze ta część „Wojny i pokoju", której na imię WOJNA, wraz z jej podbudową filozoficzną, zresztą bardzo kontrowersyjną. Oto zasadnicze novum Tołstoja w stosunku do, jak to się dziś mówi — zastanej tematyki literatury światowej. Niestety jednak sama kontrowersyjność filozoficznych rozważań wielkiego autora związanych z wojną i w ogóle całej jego parachrześcijańskiej filozofii nosi w sobie zarodek dezaktualizacji tego, co w pierwszym momencie zafrapowało (i zaszokowało) świat.

Gdy zaś z kolei jakiś czas nowy spojrzy bezstronnie na obraz POKOJU w dziele obydwóch porównywanych pisarzy, kto wie, czy nie znajdzie w nim jednakowo wiernego wizerunku epoki, w której tworzyli? Nie wiem nawet, czy nie pełniejsze podobieństwo, w sensie społecznym, znajdzie u Turgieniewa, gdyż obracająca się w szerokich wiejskich kręgach szlacheckich jego wyobraźnia bardzo często wychodziła poza obręb psychologiczny tej klasy — jest bardziej autentycznie bliska ludowi, niż wyrozumowany w dużym stopniu demokratyzm Tołstoja, który zerwał na dobre z arystokracją dopiero w ostatnich chwilach życia.

Tak czy inaczej, złe i dobre w układzie społecznym Rosji lat 1830—70 pokazane przez Turgieniewa, pokazani przez niego dobrzy i źli ludzie, równie długo nie przestaną poruszać wrażliwego czytelnika, jak stosunki i ludzie pokazani przez Lwa Tołstoja w świetle lat następnych.

*

Snuły mi się po głowie te myśli w drodze do miejsc rodzinnych Iwana Turgieniewa, które pragnęłam odwiedzić wobec 150-lecia jego urodzin.

Przyznam się, że wysiadłam na dworcu w Orle nie bez tremy. W poprzednich moich podróżach do Związku Radzieckiego ograniczałam się do miast pryncypalnych bądź słynnych uzdrowisk. Moskwa, Kijów, Leningrad, Tbilisi, Suchumi, Jałta... Nie byłam obeznana dokładniej z techniką przerywania podróży na stacjach „niedocelowych". Poza tym — poza tym bywałam niegdyś, za czasów studenckich, gościem pewnych krewniaków w Orle i w jednym z uroczych zakątków orłowskiej „guberni", niezbyt odległym od majątku Turgieniewa. Mogła powstać sytuacja przypominająca „Odwiedziny" Kruczkowskiego.

Ale nie powstała. Wręcz przeciwnie, mój dzień orłowski miał być bogaty w najpiękniejsze, najpogodniejsze, najwznioślejsze wrażenia.

I. S. Turgieniew. Miedzioryt znakomitego grafika rosyjskiego, W. Mate.
(Ze zbiorów M. Bechczyc-Rudnickiej)

Od samego początku wszystko poszło nader gładko, nie powiem — niespodziewanie, ale nadspodziewanie gładko. Muzeum I. S. Turgieniewa otrzymało na czas moją depeszę. Ledwie wysiadłam przed monumentalnym dworcem, a już wyjęto mi z ręki jedną z uciążliwych waliz (kobiety, bez względu na wiek, ustawicznie zabierają w podróż moc zbędnych fatałaszków). Dobrą samarytanką była wysoka, młoda, przystojna niewiasta. Jak się wkrótce okazało, dyrektor muzeum, Olga M. Owsiannikowa. Omijając nowoczesne skrytki-safesy, przeznaczone dla bardziej rozsądnych turystów, złożyłyśmy mój pękaty „bagaż ręczny" w tradycyjnej przechowalni i — na miasto rozjaśnione uprzejmym słońcem wrześniowym!

Teraz czekała mnie największa niespodzianka. Orzeł, ten nieomal unicestwiony przez boje, Orzeł, o którym z lekka tylko hiperbolicznie się mówi, że ocalał w nim jeden dom, dwie staruchy i trzy kotki, jest dzisiaj wcale ładnym, schludnym miastem, w miarę nowoczesnym, w miarę patriarchalnym, tj. odbudowującym swoje zabytki w ich właściwym stylu — neoklasycznym, miastem nie gardzącym też swojskimi budynkami parterowymi, które nadają niektórym ulicom barwę minionego czasu. Nie brak tu i kontrastowo okazałych gmachów, jak Pałac Rady Narodowej (Dworiec Sowietow), Instytut Pedagogiczny, Pałac Pionierów, Biblioteka im. N. Krupskiej itp., itp. A i nowy hotel „Rosja", do którego dotarłyśmy spacerkiem, też nie od macochy — jest czteropiętrowy, ale bardzo pojemny.

Była to moja cicha przystań na jedną dobę — w czystym pokoiku z radiem, telefonem, wodą bieżącą zimną i ciepłą, za cztery i pół rubla (w przybliżeniu 68 zł).

Ekspozycje Muzeum I. S. Turgieniewa mieszczą się w dwóch domach, z których żaden nie był domem pisarza. Meble jego ustawiono według nastrojowego scenariusza w domu pani Gałachow, wdowy po wicegubernatorze orłowskim, a kuzynki Iwana Turgieniewa, spokrewnionej zarazem z poetą Fetem (Szenszinem). Natomiast dział pamiątek literackich znajduje się tuż w przyległej posesji niejakich państwa Trubicyn, których ostatnia potomkini mieszka ponoć w Oxfordzie. Obydwa budynki są staroświeckie, parterowe, bezpretensjonalne, ale czuje się, że płynęło w nich swym leniwym nurtem dostatnie życie. Meble, wywiezione przez panią wicegubernatorową, prowincjonalnego wandala, prawem spadkobierczyni, z majątku pisarza Spasskoje-Łutowinowo, kształtne, wystawne — mahoń i brzoza karelska — wręcz już mówią o dziewiętnastowiecznych latyfundiach rosyjskich i o trudzie tysięcy „dusz" podniewolnych.

W dziale literackim muzeum mnóstwo przejmujących pamiątek związanych z życiem i twórczością wielkiego pisarza. Portrety jego w różnym wieku, pędzla czy rylca wybitnych artystów, podobizny rodziców, a więc przede wszystkim matki, owej okrutnej pani, mądrej i wykształconej, a nielitościwej dla poddanych. Dalej, jak to zazwyczaj bywa — reprezentacja kulturalnego otoczenia twórcy, ślady jego związków krajowych i zagranicznych, oczywiście włącznie z dziwną przyjaciółką, Pauliną Viardot — Garcia, następnie w skojarzeniach logicznych i chronologicznych — oryginały tudzież faksymile rękopisów, sugestywne przedmioty osobiste (strzelba, torba myśliwska!), w końcu — ogrom wydawnictw starych i nowych w wielu językach świata oraz ilustracje do poszczególnych utworów. Ach, nie jednego dnia trzeba, by przez ten szacowny gąszcz zachowanych, na szczęście w obfitości, zabytków przebrnąć nie tylko z pietyźmem, ale i z owocnym rozeznaniem. Oko Polaka zatrzyma się o chwilę dłużej na wiadomości o śmierci Turgieniewa, w „Tygodniku Ilustrowanym" z 15 listopada 1883 r. i w „Kłosach", bądź też na książkach polskich pochodzących z księgozbioru publicysty Kiriejewskiego.

Głównym konserwatorem skarbów tego muzeum jest A. I. Poniatowski, któremu zawdzięczam analityczny na miarę mego skąpego czasu komentarz do ekspozycji.

Znakomitym jej uzupełnieniem jest Muzeum Pisarzy związanych z Orłem (**Muziej pisatielej orłowcow**). Oto na wstępie mapa ziemi orłowskiej z oznaczeniem miast, miasteczek i wsi, które uświetnił pochodzeniem lub innym jakimś trwałym powiązaniem jeden z wybitnych pisarzy rosyjskich. Widzimy na mapie ponad dwadzieścia takich miejscowości.

Muzeum znajduje się w domu znakomitego historyka pierwszej połowy XIX w., Tymoteusza Granowskiego. Tutaj znów zajęła się mną dyr. O. Owsiannikowa. Z wyjątkową życzliwością, gdyż musiała wystarać się specjalnie dla mnie o klucze, jestem o tej późnej porze popołudniowej jedyną osobą zwiedzającą.

Mamy do obejrzenia sześć sal. Przychodzi mi to jednak mimo zmęczenia z łatwością, tak interesujące są zgromadzone tu eksponaty. A więc najpierw idziemy do sali samego Granowskiego, gdzie niemałe wrażenie robi rysunek studenta z 1845 r., przedstawiający salę Uniwersytetu Moskiewskiego w czasie wykładu uczonego. Z kolei — sala znakomitego krytyka, Dymitra Pisariewa. Oto cela pisarza w twierdzy Pietropawłowskiej w Petersburgu. Na wizerunku — łóżko żelazne, żelazny stolik składany. Oto czasopismo „Russkoje Słowo", Pisariew był jego współpracownikiem. W ciężkich warunkach więzienia ,na które był skazany za nawoływanie do obalenia carskiego samowładztwa, pracuje nad artykułami ukazującymi się w kolejnych numerach „Rosyjskiego Słowa" dopiero po przesianiu ich treści przez sito carskiej cenzury.

Cała sala poświęcona jest pamiątkom po Mikołaju Leskowie. Polski czytelnik wie coś niecoś o tym wysoce utalentowanym znawcy swego narodu, dzięki świetnym przekładom Tuwima, a warto, by zdał sobie sprawę, iż w fenomenalnym języku Leskowa tkwią korzenie stylu Babla, zastosowanego do innej tematyki.

Ze starym znajomym spotykają się miłośnicy literatury rosyjskiej w sali czwartej. Iwan Bunin, zmarły w 1953 r. w Paryżu, laureat nagrody Nobla, autor powieści „Życie Arsienjewa", spędził dzieciństwo i lata młodzieńcze na wsi orłowskiej. Ekspozycja pokazuje „żywego Bunina" w warunkach społecznych, towarzyskich, rodzinnych, gdzie nie był wolny od słabostek i przywar.

Atrakcyjna jest sala Michała Priszwina, pisarza radzieckiego zmarłego w 1954 r. Spopularyzowały go w Polsce zwłaszcza jego książki dla dzieci, w których ukazuje czystą poezję przyrody.

I wreszcie zapomniany u nas, kiedyś bardzo znany, Leonidas Andrejew, przyjaciel i w jakiejś mierze antagonista ideowy Maksyma Gorkiego. Przypomniały mi się mimowoli moje studenckie lata w Petersburgu, kiedy widziałam dziwna sztukę Andrejewa, „Życie człowieka", jakże pesymistyczną syntezę światopoglądową, produkt „dekadenckich" nastrojów początku stulecia XX.

*

Następnego dnia dyr. Owsiannikowa zawiozła mnie autem do majątku Turgieniewa Spasskoje-Łutowinowo, położonego mniej więcej w takiej odległości od Orła, jak Nałęczów od Lublina. Prowadzi tam doskonała wyasfaltowana szosa.

Przy zbliżaniu się do wielkiego parku opanowało mnie podniecenie. Widziałam niejeden taki orłowski park w mojej młodości, w czasie wakacji, kiedy krewni zabierali mnie z sobą jadąc w gościnę do sąsiadów — także już w przeddzień Rewolucji Październikowej właściwie letników. Znam te swojskie aleje lipowe, niewymyślne klomby, za moich czasów nieco zapuszczone, i szczodre sady owocowe, przytulone do parku, i stawy dające sposobność do wesołych, niemal towarzyskich połowów karasi...

Wielki dom majątku Spasskoje, liczący czterdzieści pokojów, wybudowany na początku zeszłego stulecia w kształcie rozchylonej podkowy, budynek, który wydawał się dzieciom jakby całym miastem, spalił się niestety aż do fun-

Dokończenie na str. 11

POWTÓRKA Z POLSKIEGO

Literatura — faktem społecznym

Urszula Kowalska

UCZESTNICZĄC od kilku lat w egzaminach wstępnych na różne kierunki humanistyczne (na każdy z nich obowiązuje egzamin z języka polskiego), mam okazję obserwować nie tylko emocje kandydatów, ale również i przede wszystkim, ich przygotowanie i umiejętności posługiwania się zasobem wiedzy wyniesionym ze szkoły. Zważywszy, że egzamin nie wykracza poza ramy programu i nie wymaga niczego poza znajomością lektur i umiejętności operowania wiadomościami nabytymi na lekcjach języka polskiego, poziom zdających budzi pewne zaniepokojenie — nie tylko moje. Młodzież najchętniej szuka winnych poza sobą, ale zdarzają się przecież przypadki konfrontacji stawiające ten problem w jednoznacznym świetle. Istniały sytuacje, kiedy kandydat odpowiadał w obecności swego nauczyciela ze szkoły, uczestniczącego w egzaminie w charakterze obserwatora delegowanego przez Kuratorium. I zdarzało się również, że zdający nie śmiał podnieść oczu na pedagoga, który byłby bardzo skrzywdzony, gdyby odpowiedź ucznia miała być jedynym miernikiem jego odpowiedzialnej i trudnej pracy. Apeluję więc do przyszłych maturzystów, a wśród nich kandydatów na studia humanistyczne, by nie szukając winnych poza sobą samymi, wyzyskiwali sensownie zasoby szkolnych wiadomości i starali się uniknąć błędów poprzedników.

A „grzechów" takich można znaleźć sporo. Jednym z głównych jest język, którym młodzież mówi na egzaminie: posługuje się ona najchętniej stereotypowymi zwrotami używanymi mechanicznie, stosowanymi przy omawianiu np. twórczości Kochanowskiego i równie dobrze Broniewskiego, zwrotami odbarwionymi przez nadużycie, żałosnymi w znaczeniowym ubóstwie. Każdy problem poruszany w konkretnym utworze kandydaci mają skłonność definiować jako „walkę o...". Nie wolno słowu „walka" odbierać jego prawdziwego znaczenia, nie wolno używać go przypadkowo, jak nie wolno tego robić z żadnym innym słowem czy zwrotem językowym. Zdarza się, że kandydat mówi o walce o sprawiedliwość społeczną czy wyzwolenie narodowe i proszony o wytłumaczenie, na czym to polega w konkretnym utworze i jak jest literacko zrealizowane, nie potrafi uzasadnić swego sądu. Jeśli kandydat czytał lekturę, mieszczącą się w której z konwencji realistycznych, uznanych za „łatwe", nawet przy ubóstwie językowym jest on w stanie przedstawić jej treść. Jeżeli natomiast utwór wyzyskuje sposoby przedstawiania świata nie mieszczące się w ramach rozumienia zdroworozsądkowego (np. świat nadzmysłowy w utworach romantycznych) albo jest po prostu utworem lirycznym, sprawy znacznie się komplikują.

Często występującym zjawiskiem jest nieumiejętność problematyzowania i interpretacji lektury, co jest szczególnie rażące w przypadku omawiania przez zdającego liryki, która — jak wiadomo — jest oporna wobec jakichkolwiek prób streszczania. Nic więc dziwnego, że część wypowiedzi kwalifikuje się do Przekrojowej rubryki — „humor z zeszytów szkolnych".

Podobnie wyglądają próby omawiania wartości artystycznych utworu i nie wiadomo dlaczego owe wartości są dla maturzystów pojęciami mgławicowymi, uniwersalnymi i istnieją poza czasem i historycznym rozwojem literatury. Co więcej, niewielu kandydatów potrafi powiedzieć, na czym polegają, jak można wykryć ich istnienie, i stąd zapewne odpowiedzi mętne i ogólnikowe. Wypływa to prawdopodobnie z lekceważenia przydatności stylistyki (jest ona w programie!) i braku uwagi na lekcjach podczas analizowania utworu. Poza tym razi nieumiejętność choćby tylko wyliczenia cech charakterystycznych dla epoki literackiej, okresu czy prądu, nieumiejętność odróżnienia ugrupowań literackich istniejących w tych samych czasach oraz wyróżnienia cech właściwych twórczości określonego pisarza. Równie drażliwą sprawą jest świadomość rodzajowa i gatunkowa: zdarza się, że kandydat potrafi określić, co to jest np. sonet, nie potrafi natomiast odpowiedzieć swoimi słowami na pytanie — czym się charakteryzuje liryka czy epika.

Zapoczątkowany dziś cykl „powtórkowy" ma na celu niesienie pomocy w systematyzacji i syntezie materiału.

Jest rzeczą oczywistą, że literatura, podobnie jak inne dziedziny sztuki, jak zjawiska kultury w całej swej rozciągłości, jest faktem społecznym. Znaczy to tyle, że tworzą ją ludzie żyjący w określonych historycznie czasach i w określonym społeczeństwie dla innych ludzi, posługujących się tym samym językiem, a więc zdolnych do jej odbioru. Nie istnieje bowiem utwór bez czytelnika, spektakl teatralny bez widza, koncert bez słuchacza.

Literatura towarzyszy człowiekowi od zamierzchłych czasów, jest wyrazem jego aktywności w świecie, jest zwierciadłem ludzkich lęków, dążeń i nadziei. Mimo wielu zadań, które spełnia, nie ma zbyt dobrej opinii i pewnie nie bez powodu: służyła ona i służy różnym racjom, ideologiom i systemom. Zarzuca się jej fikcyjność, subiektywizm w doborze interpretowanych faktów i w samej interpretacji, demagogię — czyli narzucanie niesprawdzalnych, nie odpowiadających rzeczywistości obrazów świata. Jej materiałem, tworzywem jest język używany w codziennej międzyludzkiej komunikacji, przekształcany przez pisarza dla określonych ideowych i artystycznych celów. Owo przekształcenie mowy codziennej dokonywa się na wielu płaszczyznach, z których najważniejszą jest płaszczyzna wyboru z całego istniejącego bogactwa. Ale język jest od stuleci materiałem równie opornym, nie dającym się nagiąć do granic, gdzie można — że posłużę się trafnym sformułowaniem Norwida — „odpowiednie dać rzeczy słowo", a więc wyrazić w odpowiedniej formie myśli, przekonania i przemyślenia. Jastrun pisał z goryczą w „Micie śródziemnomorskim":

> Zapewne, literatura nigdy nie miała do rozporządzenia innych środków prócz wiarołomnego i budzącego mnóstwo podejrzeń słowa. Nie liczyła się z nią nigdy historia, mimo że była ona jej współtwórczynią jako tworzycielka mitów, jako partnerka w pewnym ograniczonym sensie, o bardzo nierównych szansach i przywilejach. Czy nie kończyła najczęściej ucieczką w sferę, gdzie nie mogły jej dosięgnąć ręce oprawców, czy była kiedykolwiek naprawdę korektorką tekstu zapisanego krwią plemion i narodów?

Paradoksem wydawać się może, że słabości literatury są równocześnie jej siłą, bowiem subiektywizm ujęcia problematyki, wyznaczany przez osobę twórcy, jest w stanie oddziaływać w sposób bardziej emocjonalny niż obiektywizujące, naukowe ujęcie historyczne. Ambicją literatury jest współuczestniczenie w procesie kreacyjnym świata, przekazywanie ludzkich wrażeń i wyobrażeń jednostkowych i zbiorowych, światopoglądów, systemów wartości oraz tworzenie systemów jakości doniosłych estetycznie, tzn. kształtowanie naszych gustów przez pewne sposoby organizacji słowa, które uznajemy za artystyczne. Przykładem może być batalia literatury oświeceniowej, starającej się o jasność i komunikatywność wypowiedzi oraz jej społeczną służebność w przeciwieństwie do literatury posługującej się nadmiernie ozdobnym i obrazowym stylem barokowym.

Nawet wówczas, gdy nie mieści się to w jej założeniach programowych, literatura jest (jakkolwiek w pewnym tylko sensie) dokumentem swojej epoki. Jak każdy wytwór kultury jest przez swoje czasy zdeterminowana: żaden bowiem twórca nie jest w stanie oprzeć się presji współczesności, wyzwolić się od problematyki światopoglądowej swoich czasów, od zagadnień nurtujących społeczeństwo, w którym żyje. Oczywiście pisarz ujmuje tę problematykę poprzez pryzmat własnych przekonań, subiektywnego widzenia świata i ma do tego pełne prawa. Dzieli się niejako z nami swoimi wątpliwościami na temat spraw, które nas dotyczą, przekazuje swoje przemyślenia i poglądy, zmusza do pełniejszego, ostrzejszego widzenia rzeczywistości. Aby nas przekonać, a choćby tylko sprowokować do dyskusji, twórca musi znaleźć odpowiedni wyraz artystyczny dla komunikowanych przez utwór treści. Tworzy przeto tzw. „świat przedstawiony utworu literackiego", świat fikcyjny i obrazowy, składający się z wybranych i podporządkowanych naczelnej idei utworu fragmentów rzeczywistości literackiej, świat spoisty i uporządkowany przez zamierzenie twórcze, stanowiące zasadę organizacji materiału literackiego. Odnosi się to zarówno do literatury realizmu krytycznego, która chciała stworzyć iluzję „prawdziwości" świata ukazywanego w powieściach, jak i do tych twórców, którzy, jak np. Kafka, budowali rzeczywistość literacką z fragmentów rzeczywistości poddanej szczególnie silnej presji odczucia subiektywnego. Oba sygnalizowane sposoby wyrażają określoną prawdę o rzeczywistości, tylko wyrażają ją w sposób różny, uwarunkowany przekonaniami autorów oraz historyczną zmiennością czasów, w których żyli. Poetyka Prusa np. wynika z optymistycznych przekonań pisarza i jego czasów, że świat można zrozumieć i zracjonalizować. Groteskowe kracje Kafki natomiast są podyktowane poczuciem zagrożenia człowieka, wynikającym z doświadczeń historycznych Europy zagrożonej przez faszyzm przed II wojną światową. Przykłady można by mnożyć.

Literaturę określa wszakże nie tylko jej historyczna współczesność, w której powstaje i żyje, ale również stosunek do przeszłości kulturalnej i tradycji, o czym napiszę następnym razem.

Jan Adamczyk · Henryk Gawarecki · Czesław Gawdzik · Janusz Gągała · Józef Hołaj · Grzegorz Jurkowski · Wiesław Kwiatkowski · Józef Mazur · Henryk Woliński

Nasze dyskusje

Projektowanie, budowanie i ...paradoksy

Zagadnienia inwestycyjne nie po raz pierwszy goszczą na łamach „Kameny". Albowiem obok wielu innych czynników przede wszystkim inwestycje decydują o kształcie naszej rzeczywistości: rozwoju przemysłu i rolnictwa, zapewnieniu ludziom odpowiednich warunków mieszkaniowych i socjalno-bytowych, rozroście szkolnictwa na wszystkich szczeblach, powstawaniu nowych placówek kulturalno-oświatowych. I dlatego ani dla inżynierów czy literatów, ani dla ekonomistów czy aktorów nie jest obojętne, jak realizuje się inwestycje.

Z inicjatywy dyrekcji Lubelskiego Biura Projektów Budownictwa Ogólnego (dawna nazwa „Miastoprojekt") przeprowadziliśmy w tym przedsiębiorstwie dyskusję na temat realizacji niektórych Tez na V Zjazd PZPR. W dyskusji wzięli udział: st. projektant mgr inż. Jan Adamczyk, mgr inż. Henryk Gawarecki z działu postępu technicznego, główny specjalista architektury mgr inż. Czesław Gawdzik, st. projektant mgr inż. Janusz Gągała, z-ca dyrektora do spraw technicznych mgr inż. Józef Hołaj, kierownik działu organizacji produkcji mgr Grzegorz Jurkowski, kierownik pracowni wielobranżowej mgr inż. Wiesław Kwiatkowski, kierownik zespołu opracowań ekonomicznych mgr Józef Mazur, kierownik pracowni wielobranżowej inż. Henryk Woliński. Z ramienia redakcji w dyskusji wziął udział red. Jerzy Dostatni. Oto w skrócie relacja z dyskusji.

Dostatni: — „Ważnym elementem usprawnienia procesu inwestycyjnego — czytamy w Tezach — winno być uproszczenie dotychczasowego trybu przygotowania i uzgadniania niezbędnej dokumentacji projektowo-kosztorysowej. Należy... przejść w zasadzie na dokumentację jednostadiową, która dla prostych inwestycji winna być ograniczona jedynie do niezbędnych rysunków roboczych". Wydaje mi się, że, niestety, rzeczywistość jest zupełnie inna. Coraz częściej wozimy dokumentację samochodami ciężarowymi, bo nawet „Żuk" nie jest w stanie jej zabrać. Byłem świadkiem, gdy nie wbijano haków pod karnisze, ponieważ nie było dokładnych rysunków w dokumentacji. Z takiego samego powodu nie przybijano klamek. Dlaczego tak się dzieje?

Adamczyk: — Jeszcze przed dziesięciu laty dokumentacja była o połowę mniejsza i też wystarczała. Rozumiem, że stosowanie prefabrykatów wymaga opracowania dodatkowych szczegółów, ale dochodzimy do absurdu. Niedawno dostałem z Puław zawiadomienie, że „dokumentacja nie jest kompletna", ponieważ brak jest rysunku, jak należy zaczepić o płot drut kolczasty. Od czasu, gdy zaczęliśmy w budownictwie zwracać uwagę na sprawy ekonomiczne, każdy szuka dziury w całym, aby tylko oddalić od siebie decyzję i najmniejszy kawałek odpowiedzialności. A przecież sens działania ekonomicznego nie na tym polega. Kierownik budowy ma takie same uprawnienia jak projektant, nie zrobi jednak nawet kropki. Telefonuje do projektantów, zmusza ich do wyjazdów. Po prostu na budowach rozpleniło się asekuranctwo, ucieczka od decyzji.

Jurkowski: — Gdy brak jakiegoś materiału przewidzianego w dokumentacji, kierownik budowy czy inspektor nadzoru nie podejmą decyzji o wymianie, a przecież jako inżynierowie z uprawnieniami doskonale wiedzą, co trzeba zrobić.

Woliński: — Przepisy o zdobywaniu uprawnień budowlanych są zbyt skomplikowane. Z biur projektowych odchodzą ludzie po osiemnastu czy piętnastu latach pracy, bo nie mogą zdobyć tych uprawnień.

Jurkowski: — Absolwent technikum powinien najpierw przejść praktykę na budowie, następnie w biurze projektów, a dopiero potem uzyskać uprawnienia. Można przypuszczać, że wtedy nie bałby się podjęcia decyzji. Po trzech latach praktyki na budowie jest już kierownikiem i zarabia 3 tys. zł miesięcznie albo i więcej. A potem ma dobrowolnie przejść do biura z poborami o połowę mniejszymi?

Hołaj: — I w dodatku zgodnie z przepisami musiałby pracować w biurze projektów najwyżej na stanowisku starszego asystenta przez trzy lata. Na budowie też zdobywa uprawnienia, w teorii takie same, ale przecież nie zna procesu powstawania dokumentacji i nic dziwnego, że potem nie chce ingerować nawet, gdy chodzi o drobiażdżek.

Jurkowski: — Inspektor nadzoru też ma pełne uprawnienia budowlane, ale np. wbicie gwoździa uważa już za projektowanie.

Hołaj: — Tezy mówią o konieczności uproszczenia sporządzania dokumentacji. Jest podobno dwa tysiące zarządzeń, okólników i wytycznych obowiązujących projektantów. Mówię podobno — bo nikt się tego nie doliczy. Każdą dokumentację musimy uzgadniać co najmniej z dziewiętnastoma urzędami i przedsiębiorstwami, nieraz z ponad trzydziestoma. W rezultacie często samo uzgadnianie zajmuje więcej czasu niż projektowanie, np. gdy chodzi o mały budynek z wszelkimi instalacjami trwa to cztery—sześć miesięcy. Potem mówi się, że projektowanie trwa bardzo długo. A tu nie o sam projekt chodzi. I nic nie można uzgadniać w trakcie sporządzania projektu, bo każdy kontrahent domaga się pełnej dokumentacji, chociaż często sam nie wie, dlaczego. Ale ma przepis za sobą!

Gawdzik: — A co mamy robić, jeżeli — a zdarza się to wcale nie tak rzadko — jednostka wojewódzka „uzgadniacza" powiada, że źle, a centralna w Warszawie, że dokumentacja jest dobra? Lub odwrotnie? Projektant ma możliwie najwyższe wykształcenie, wszelkie uprawnienia, a jednak nie ufa mu się nawet w drobnych sprawach. Powołuje się coraz nowe komisje, wygłasza referaty i koreferaty, często wbrew projektantowi wprowadza się zmiany — a w każdym wypadku i tak odpowiada projektant.

Adamczyk: — Na Kalinowszczyźnie grunt okazał się w pewnym miejscu inny niż wykazały wiercenia geologiczne. Było chyba z piętnastu członków różnych komisji, ale ostatecznie ja jeden musiałem się podpisać pod wydanymi poleceniami. To po co figuranci? W jednym z budynków na wysokości piątego piętra okazało się, że jest odchylenie od pionu o 8 cm. Nie podlega dyskusji, że zawinił wykonawca, a znowu ja musiałem podpisać decyzję, co dalej robić.

Jurkowski: — Szkoła przy ul. Podwal nie nadaje się do użytku, pisała już o tym dużo prasa codzienna. Ale od dwóch lat nie robi się aktu oskarżenia, bo podobno nie można znaleźć winnego. Nie rozumiem.

Gągała: — Słynna była na całą Polskę sprawa szkoły w Wólce Orłowskiej, ujawniona właśnie przez red. Dostatniego, powtórzona w telewizji i prasie centralnej. I też jednoznacznie nie odnaleziono winnego.

Woliński: — Chciałbym wrócić do sprawy przesadnie wielkiej dokumentacji. Za podstawowy akt normatywny uważa się zarządzenie, opublikowane w Monitorze Polskim nr 45 z 1965 r. Intencją prawodawcy było — co wynika z samej treści — że przepisy te odnoszą się wyłącznie do dużych zakładów przemysłowych. Niemal każdy zakład jest inny i nic dziwnego, że tu wymagana jest szczególna precyzja. Ale w praktyce inwestorzy i wykonawcy powołują się na te przepisy przy najmniejszym obiekcie. Podobnie na posiedzeniach komisji oceny projektów inwestycyjnych wszyscy niesłusznie powołują się na ten Monitor. Czy dlatego, że za posiedzenia tych komisji płaci się uczestnikom i autorom referatów lub koreferatów? Czy dlatego, że dzięki temu można utopić odpowiedzialność?

Hołaj: — To samo zarządzenie powiada, że poszczególne resorty wydadzą przepisy szczegółowe, które powinny wiele wyjaśnić. Ale jak dotychczas Ministerstwo Gospodarki Komunalnej, które jest jednym z największych udziałowców w budownictwie, takich przepisów nie wydało. Czy 2 lata na ich opracowanie to zbyt mało czasu? Taka sytuacja powoduje dowolność interpretacji zarządzenia podstawowego. Wprawdzie Bank Inwestycyjny stanął po naszej stronie, ale w gruncie rzeczy każdy inwestor ma swobodę.

Gągała: — Ten sam przepis powiada, że jeżeli inwestor w ciągu 14 dni nie zajmie stanowiska wobec przysłanej mu dokumentacji, to taką dokumentację uważa się za przyjętą. To teoria, której żaden inwestor nie respektuje. Otrzymujemy odpowiedzi nieraz po sześciu miesiącach i najmniejszy drobiazg powoduje, że dokumentację odrzuca się. Ten sam przepis powiada, że KOPI należy zwoływać tylko wtedy, gdy występuje niezgodność pomiędzy projektantem a inwestorem. Ale nie znam wypadku, aby inwestor zrezygnował z KOPI, nawet gdy sam nie ma najmniejszych zastrzeżeń. A przecież projektant i tak odpowiada sądownie za popełnione przez siebie błędy. Wbrew temu zarządzeniu żąda się od nas wykonania rysunków warsztatowych np. na wycieraczkę do butów. Gdzie jest ta znajomość sztuki budowlanej u ludzi, pracujących na budowach?

Dostatni: — Przejdźmy do innego problemu. Nie tylko przemysł, ale i budownictwo ma już planowanie długofalowe, projekty planów sporządza się na 2 lata naprzód. A w projektowaniu?

Hołaj: — Budownictwo ma wojewódzką komisję rozdziału robót, nic takiego nie istnieje dla biur projektowych. Co tam mówić o dwóch latach naprzód. My na przyszły rok według teoretycznych założeń powinniśmy dać dokumentację wartości 19—20 mln. zł. Chyba powinniśmy już znać pozycje, przygotowane przez inwestorów, a nawet posiadać dane wyjściowe do projektowania, nazywane założeniami. Sami wystąpiliśmy do inwestorów, w porozumieniu z wiceprzewodniczącym Prez. WRN, inż. Hałajem, aby chociaż zorientować się w tym, co mamy robić w przyszłym roku. Termin nadsyłania odpowiedzi minął 15 października. Jakie są wyniki, niech powie szef od organizacji produkcji!

Jurkowski: — Wygląda na parodię, ale oto fakty. Najpierw rok bieżący: w lutym mieliśmy tylko 32 proc. zawartych umów, a 15 proc. jedynie awizowanych. Roczny plan zamknęliśmy dopiero w połowie lipca! Czy w takiej sytuacji można mówić o racjonalnej pracy naszego biura? Jakże tu dobrać pracowników zależnie od tego, co trzeba wykonać? W rezultacie np. elektrycy nie mają co robić, a koledzy od instalacji sanitarnych w żaden nawet cudowny sposób nie wykonają swoich zadań. Na rok 1969 mamy dać dokumentację wartości 20 mln zł, a nowych zleceń otrzymaliśmy zaledwie na 2 mln, do tego 3 mln ze zleceń starych a nie zrealizowanych — razem 25 proc. planu i to w drugiej połowie października. Przecież to jest sprzeczne z wszystkimi zasadami planowania. Na rok 1970 nie mamy ani jednego zlecenia. Posiadamy tzw. awiza na 10 mln zł, ale one nikogo do niczego nie zobowiązują i z praktyki wiemy, że potem 70 proc. zmienia się.

Hołaj: — No i jak organizować pracę? Potem robi się na łeb na szyję, na przedwczoraj. Nic dziwnego, że muszą występować braki, często zresztą iluzoryczne, jak już mówili koledzy.

Mazur: — W praktyce normalny czas projektowania jest nam skracany do 25 proc. Są obowiązujące w budownictwie cykle budowy, dlaczego wciąż brak ich w projektowaniu? My też jesteśmy ludźmi i chociaż często pracujemy po dwanaście godzin na dobę, to cudów robić nie potrafimy. Zapomina się, że u nas także istnieje to, co nazywamy mocą produkcyjną. Wystarcza ona na 60—70 proc. potrzeb. A proszę zobaczyć nasz lokal: ludzie siedzą na poddaszach, w pracowniach przez cały nawet bardzo słoneczny dzień muszą palić się żarówki, do większości pomieszczeń słońce nigdy nie zagląda. Biurowiec był zbudowany na sto osób, pracuje w nim dwieście pięćdziesiąt.

Gawdzik: — Jednym z nieporozumień jest to, że decyzje dotyczące naszej pracy niemal zawsze zapadają poza nami. Jeszcze słówko o tych szczegółowych dokumentacjach. Gdy robimy np. na jedno osiedle adaptację dwudziestu jednakowych budynków, to zawsze żąda się uzgodnienia całej dokumentacji na dwadzieścia bloków ze wszystkimi. A ewentalne zmiany mogą być tylko w dokumentacji do tzw. stanu zerowego. Dlaczego nie wystarcza uzgodnienie tylko tej części?

Dostatni: — Na zakończenie kilka słów o modernizacji starych domów. Nie o kapitalnych remontach, ale prawdziwej modernizacji, zmieniającej w zasadniczy sposób standard wyposażeniowy mieszkań. Moim zdaniem jest to zupełnie nie wykorzystany sposób znacznego zwiększenia liczby dobrych mieszkań i zmniejszenia nacisku na nowe budownictwo. Ale to wymaga innej i chyba cięższej pracy od projektantów i wykonawców?

Gawdzik: — Taką akcję, ale tylko akcję, zrobiono w Lublinie na dziesięciolecie PRL. Teraz coś podobnego robi się w Zamościu, jednak chyba zbyt często ograniczamy się tam do fasadowości. Kłopot z tym, że przepisy zabraniają robót, które kosztują więcej niż 70 proc. wartości budynków. To jest niesłuszne. W rezultacie mamy zbyt wiele szczerb w tym, co nazwałbym uzębieniem ulicy.

Woliński: — My z zasady pchamy się na nowe, ale nie uzbrojone tereny, a na uzbrojonym, jak np. przy ul. Granicznej, stoją niskie domy. W NRD burzy się całe strony starych ulic, aby wybudować nowe bloki. To jest chyba bardziej słuszne.

Jurkowski: — Modernizacja budynków sprzed pierwszej wojny światowej nie jest opłacalna, to było budownictwo tandetne. Ale np. rejon ograniczony ulicami Wróblewskiego, Narutowicza, Osterwy i Krakowskim Przedmieściem. Z zewnątrz to wygląda jako tako, ale już wygląd samych podwórek urąga podstawowym wymaganiom higieny. Tu trzeba by było wyburzyć całą dzielnicę.

Gawarecki: — To jest dzielnica zabytkowa jeżeli chodzi o architekturę i zagadnienie należy rozpatrywać na innych płaszczyznach niż nasza dzisiejsza dyskusja. Jest to sprawa bardzo trudna. Mam np. wiele pretensji do gospodarki komunalnej za Stare Miasto. Roboty prowadzono według kosztorysu, no i za grube pieniądze utrwalono wiele głupstw, które wprowadzono tam w XIX w. do zabytkowych a cennych domów. To złe stare budownictwo jest na przedmieściach, w śródmieściu mamy raczej solidne. W sprawie modernizacji warto byłoby opracować rozsądny projekt, ale jak dotychczas nikt się do tego nawet nie zabrał.

Gawdzik: — Nie jestem przeciw typowości w budownictwie, styl każdej epoki wziął się właśnie z powtarzalności pewnych elementów, np. portali czy gzymsów. Na początku XIX w. w ordynacji zamojskiej też obowiązywały albumy, będące wynikiem ekonomicznego myślenia w ówczesnej produkcji budowlanej. Ale czuję sprzeciw wewnętrzny, gdy mowa o tak dalekiej adaptacji czy modernizacji.

Relację spisał:
Jerzy Dostatni

Stanisław Matys

Oświęcim roku 1968

uderzysz w gongi mosiężne
to zaraz na trwogę
główki dziecięce
takie golutkie w misie cynowej
takie bezradne
wyłuskane z bandaży wspomnienia
że kroków nie słychać
takie czerwone
że twarze matek i starców
w łunę wpatrzone
truchleją
ruszysz powietrze
ozypują popiołem
jeżeli zawołasz w tym krajobrazie
morze
spierzcha brzegi pospiesznie
stokrotnieje ciężarem ołowiu
zbliżysz ogrody w tym krajobrazie
to róże mają zapach
kości palonej
ogrody oddalisz
posągi aż chude białością
kurczą się w sobie
jakbyś szronem otulił
głowy krągleją
jakbyś rozwinął sztandar topora

Żytnia żona

moja żona pachnie żytem
wiatr wykłosił żytnią żonę
kwaśno mówi
z kwaśnej dzieży
taki z ciebie mąż
słomiany
byle wiatr do lasu niesie
byle ogień
to on płonie
mąż słomiany
mąż słomiany
nie dla ciebie żytnia żona

Białystok

Henryk Hartenberg

Chwila

Deszcz —
Nie rozplótł gorących ramion

Wiatr —
Nie zagłuszył misterium ciszy

Czas
nie przewiał gwiezdnego pyłu

Płomień —
Nie przemienił w czarny popiół

Słyszę
Jak wypełnia się chwila

Jak drzewo w drzewo
Kora w korę
Gałąź w gałąź
Liść w liść
Korzeń w korzeń
Niebo
W dno Ziemi

A ziarno
W konsystencję gleby

Niedługo mrok

Fioletowy cień
Rozsadzi źrenicę Fauna —

Z zieleni tryśnie
Strumień...

Łódź

Edward Inglot

* * *

ścieżki biegły do pól
wśród kwitnących godzin
rano
wieże dzieciństwa biegną do słońca
stoczono bitwę
na oczach białego ugoru
wtedy
nocą
storczyki urodziły swoje dzieciństwo

Kraków

TYLE OBRAZÓW Z BIAŁOWIEŻY!

Ireneusz J. Kamiński

MÓWIĄ, że od przybytku głowa nie boli. Po niedawnej wizycie w Białymstoku dochodzę do odmiennego wniosku, trochę na zasadzie paradoksu, który posiada jednak całkiem logiczny kościec. Oto zakończony 15 września IV Ogólnopolski Plener Białowieski podsumowano w płaszczyźnie artystycznej dużą wystawą prac uczestników tego sympatycznego spotkania. Pokazano kilkadziesiąt obrazów, wśród nich niewątpliwie dzieła, godne uwagi i ochrony muzealnej. Część z nich, zgodnie z tradycją białowieską, zostanie w rękach gospodarzy pleneru, reszta powróci do autorów w różnych miastach Polski. Ta zasada obowiązywała także na poprzednich trzech imprezach. W rezultacie stosunkowo niewielkie miasto wojewódzkie, będące dopiero w trakcie tworzenia własnej tradycji artystycznej, posiada niezwykle cenny majątek w postaci dzieł sztuki, podpisanych nierzadko przez co znakomitszych malarzy polskich. Dla przykładu i aby nie być gołosłownym: przez Jerzego Panka, Rajmunda Ziemskiego, Jana Cybisa... Chyba wystarczy.

Nieprzypadkowo gromadzono od kilku lat w Białymstoku dorobek plenerów białowieskich, ponieważ już w okresie trwania pierwszego z nich zarysowały się realne szanse uzyskania zabytkowego budynku (w znakomitym punkcie miasta), który miał pomieścić galerię sztuki współczesnej, a więc w praktyce opartej na tym, co artyści zrealizowali w fascynującej scenerii puszczy. Z biegiem czasu nadzieje wzrastały, lecz niedawno gwałtownie opadły. W budynku, tak pożądanym przez plastyków i związanych z nimi działaczy, rozgospodarzyła się instytucja, która, owszem, może zwolni pomieszczenie, jeśli otrzyma inne. Chodzi podobno o pokrewną sztuce (?) Pracownię Konserwacji Zabytków.

Pomasujmy czoło: to tyle wysiłku i pieniędzy włożono w organizację plenerów, owocujących zgodnie z pragnieniami, aby teraz, kiedy zebrano już cenny zestaw obrazów, jego społeczne wykorzystanie uzależniać od nieuchwytnego w czasie i warunkowanego wieloma różnymi okolicznościami momentu opuszczenia przez PKZ pomieszczeń, których w żadnym wypadku instytucja ta nie powinna otrzymać!? No bo niby z jakiej racji? Że konserwuje obrazy, rzeźby i inne dzieła sztuki? Przecież nie pora jeszcze na wernikowanie płócien powstałych najdalej cztery lata temu. Natomiast czas już na urządzenie stałej ekspozycji dorobku białowieskich plenerów. Nie chodzi przy tym o wystawianie w ten sposób pomnika autorom, choć i tego momentu nie trzeba lekceważyć lecz o stworzenie odpowiednich warunków dla kontaktowania się publiczności z autentyczną, oryginalną sztuką. Chodzi też o to, aby miejscowi plastycy uzyskali nareszcie funkcjonalne sale do prezentowania własnej twórczości.

W tej chwili Białystok jest jednym z dwu czy trzech miast wojewódzkich w Polsce, które nie zdobyły się jeszcze na zaspokojenie ekspozycyjnych, a więc elementarnych potrzeb rodzimych twórców. Dzięki — w ich imieniu — za pracownie, za plener w Białowieży, ale zaraz za wdzięcznością prośba — o pomyślne i w miarę szybkie przekazanie im wiadomego budynku.

Skromna kubaturą, lecz niezwykle ciekawa i ambitna zamierzeniami galeryjka Lengiewicza, Rybiego i Wołkowyckiego w bramie pałacu Branickich, przystosowana do wystaw osobistym ich wysiłkiem, a bodaj czy nie przede wszystkim entuzjazmem, ma charakter bardziej kameralny i, powiedziałbym, warsztatowo-laboratoryjny, co nie wynika jedynie z materialnej konieczności, ale także ze słusznego w każdym punkcie programu artystycznego założycieli.

Tymczasem plener białowieski pomimo takich czy innych niedociągnięć organizacyjnych, łatwych do uniknięcia w wypadku odwołania się do doświadczeń jego inicjatora, dryfującego z niewiadomych mi przyczyn gdzieś obok całej imprezy, posiada możliwości rozwojowe.

W tegorocznym spotkaniu obok artystów polskich uczestniczyło po raz pierwszy czterech malarzy z zagranicy: Maria Havel z Francji, która pozostawiła kilka ekspresyjnych obrazów, bliskich nowej figuracji; Margaret Plesner z Danii, autorka płócien w stylu abstrakcyjnej école de Paris; Stauskas i Krysztopajtis z Litwy.

Przegląd polskich nazwisk uczestników pleneru przekonuje, że w pewnej zgodzie z tradycją do Białowieży zaproszono przedstawicieli kilku orientacji artystycznych, z tym jednak, że na próżno wypatrywałem kogoś z kręgu sztuki wizualnej lub kinetycznej. Znaleźli się natomiast młodzi malarze figuratywni spod znaku pop-artu, Marek Sapetto i Wiesław Szamborski. Znalazła się spora grupa artystów o znanych nazwiskach i wyrobionej pozycji w krajowej hierarchii sztuki współczesnej, m. in. Jerzy Panek, Kazimierz Ostrowski, Walenty Gabrysiak, Jan Góra, Łajming...

Ciekawie prezentowali się białostoczanie — Stefan Rybi, Jerzy Lengiewicz (co za zmiana koncepcji!) i Dorota Łabanowska, która pokazała malarstwo o biologicznych formach, zmysłowe i dynamiczne.

Zwracano już wielokrotnie uwagę na wyjątkowy, a tym samym inspirujący kształt białowieskiego pejzażu, wskazując w ten sposób lokalizację plenerów. Zgoda na to, bo rzeczywiste formy i cestrój puszczy są wyjątkowe, czego potwierdzeniem przewijające się przez wiele obrazów dramatyczne tonacja czy symbolika rodem z wielkiego lasu, czasami, bądźmy szczerzy, wyrzystywana na zasadzie sensacyjnej. Biorąc pod uwagę kierunki rozwojowe sztuki współczesnej wykluczono konserwatywną koncepcję pleneru jako spotkania pejzażystów. Zdecydowano się na rozwiązanie demokratyczne w swej istocie i, biorąc pod uwagę szereg lokalnych okoliczności, chyba słuszne. W Białowieży spotykają się twórcy różnych wyznań artystycznych. Zasadę tę kontynuowano na ogół z powodzeniem w tym roku zachwiano jednak proporcje, o czym już wspominałem. Czy nie za dużo pejzażyków, czy nie za mało kontrowersji? Rzecz całą można uporządkować przy odpowiedniej organizacji, popartej pełnym rozeznaniem w krajowej plastyce, i pełną świadomością celów pleneru.

Białowieża to nie Osieki czy Zielona Góra. Tu się przede wszystkim maluje, tam dyskutuje, rozważa, maluje i konstruuje. To porównanie nie deprecjonuje plenerów białowieskich, ale wskazuje na ich odrębny charakter w stosunku do wymienionych imprez plastycznych. Ale spięcia, kontrowersje, niekoniecznie werbalne, są wprost konieczne dla rozwoju sztuki, dla rozwoju pleneru także. Dlatego właśnie nie zmieniając sygnalizowanego przed chwilą charakteru spotkań białowieskich, wydaje się wprost konieczne przestrzeganie zasady dużej różnorodności postaw przy ustalaniu listy uczestników.

„TROCHĘ WIOSNY JESIENIĄ..."

MYŚLĘ, że warto by się kiedyś zastanowić, czemu to Lublin, który w zaraniu naszych dziejów powyzwoleńczych miał szczęście być przez sześć miesięcy „Lublinem stołecznym", z autentycznie kulturowymi cechami stołeczności, czemu ten Lublin, w którym powstał pierwszy teatr Polski Ludowej, cieszący się notabene dość długo reputacją teatru wybitnie dobrego — dlaczegoż ten oto Lublin nie tylko nie zainicjował przed laty festiwalu teatrów zawodowych na skalę większej połaci kraju, ale nawet nie zdobył się dotychczas na imprezę analogiczną do kaliskich bądź rzeszowskich spotkań teatralnych.

Smutne to niedokonanie. W tych warunkach podwójna wdzięczność należy się Radzie Okręgowej ZSP w Lublinie, Komisji Kultury Rady Uczelnianej na Uniwerytecie Marii Curie-Skłodowskiej i zespołowi teatru „Gong 2" za pomysł dorocznej lubelskiej SWT — Studenckiej Wiosny Teatralnej, zrealizowany po raz pierwszy w 1966 r. Zdawałoby się jednak, że i Miasto powinno otoczyć troskliwą opieką to ważne a uroczyste wiośniane przedsięwzięcie, spiesząc mu z pomocą w postaci wydatniejszej kwoty na nagrody konkursowe. Niestety, tak się nie stało, ale wierzymy w lepszą przyszłość. Na razie troska o losy „Wiosny" pozostaje prawie wyłącznie domeną UMCS i ZSP, i w ogromnej mierze „Gongu 2" z jego utalentowanym kierownikiem, Andrzejem Rozhinem na czele — niepokonalnie energicznym.

Jak się rozrasta wszerz owo „drzewko" zasadzone w roku 65, trudno mi powiedzieć na podstawie emulacji, które, zwane III Studencką Wiosną Teatralną z melancholijnym dodatkiem „Trochę wiosny jesienią..." — odbyły się dopiero w połowie października. Wiem, że pierwotny projekt konkursu tegorocznego liczył się z udziałem bodaj dwunastu zespołów. Celem było ukazanie dorobku sceny studenckiej w roku akademickim 1967/68. Przewidywano Główną Nagrodę III SWT i nagrodę „Debiut 68". Fatalny marzec pokrzyżował te plany.

Dużą zasługą „Gongu 2" i Rozhina jest niedopuszczenie do powstania całorocznej przerwy w zadomowiającej się już w Lublinie młodej tradycji teatralnej. Podjęto ryzyko konsekwencji kilkumiesięcznego opóźnienia. Przede wszystkim ilościowe. Na jesień zgłosiło swój udział już tylko siedem teatrów studenckich. Jeden z nich, Kabaret Architektów „Anawa" z Krakowa, nie przyjechał. Natomiast udało się Komitetowi Organizacyjnemu skaptować dla imprezy (udział poza konkursem) grupę teatralną „Fenix" z Debreczyna, która wystąpiła z nie byle jaką pozycją repertuarową, bo z „Ifigenią w Taurydzie" Eurypidesa. Należy to uważać za cenny akcent naszej jesiennej „Wiosny", choć bariera trudnego, acz pięknego fonetycznie, języka naszych przyjaciół Węgrów nie ułatwiała percepcji spektaklu.

Ale skończmy, do innej okazji, ze sprawą ilości, z owym rozrastaniem się wszerz. Jakoś się tak złożyło, że dało się za to wyraźnie dostrzec wzrastanie „drzewka" wzwyż. Zaszła jakaś przypadkowa selekcja, która podniosła ogólny poziom imprezy. Wprawdzie nie przybył doskonały wrocławski „Kalambur" (zresztą ani razu nie uczestniczył on w „Wiośnie" lubelskiej), ani „Teatr Stu" z Krakowa, ale nie było też kilku innych zespołów, które na II SWT oglądaliśmy jeszcze w stanie raczej surowym. Dość, że tym razem na sześć zespołów biorących udział w naszej niedawnej „jesieniowiośnie" de facto i oficjalnie — cztery zaprezentowały spektakle ze wszech miar wartościowe: zaangażowane, nowoczesne, pełne inwencji inscenizacyjnej, o wielkiej już sprawności wykonawczej. Nie chcę, by to wyglądało na złośliwość pod adresem teatru zawodowego, ale dla nikogo nie jest tajemnicą, iż w teatrzykach studenckich można zobaczyć częstokroć przedstawienia ciekawsze niż w niejednym „prawdziwym" teatrze, skrępowanym rygorami pozaartystycznymi, w teatrze, powiedziało by się — zadufanego w sobie aktora i zaharowanego głównego reżysera, którego zafascynowała wizja własnego samochodu.

Na pierwszym miejscu można postawić (prywatnie, bo w myśl założeń ostatniej imprezy, jury miejsc nie wyznaczyło) — na równi pokazy: krakowskiego Teatru 38, studenckiego teatru „Gliwice" i naszego „Gongu 2".

Krakowianie zaprezentowali „gniewny" utwór Güntera Grassa „Kot i mysz" w adaptacji i reżyserii Jana Günluera, z oprawą sceniczną Jana Kaisera. Günter Grass (nie mylić imienia pisarza z nazwiskiem reżysera Teatru 38!), gdańszczanin niemiecko-polskiego pochodzenia, członek „Grupy 47", grupy pisarzy, z którą opinia publiczna na terenie NRF podobno się liczy, porusza w sposób niekiedy bardzo brutalny, lecz z przemożnej potrzeby uczciwego rozrachunku wewnętrznego, temat tzw. „wschodniej krainy", walcząc uporczywie z mitami otaczającymi tę tematykę. Günter i Kaiser opracowali bardzo sugestywną inscenizację „Kota i myszy", kapitalny już był sam pomysł zawieszenia w centrum sceny wielkiej sieci (podobnej do hamaka!), nie tylko symbolizującej treści rzeczy, ale i sprzyjającej technicznie rozwiązaniu symultanicznej akcji.

Studencki teatr „Gliwice" z kolei oczarował widownię interpretacją „Wiosny" Brunona Schulza. Fragmenty tego poetyckiego opowiadania z „Sanatorium pod klepsydrą" uplastyczniono w siedmiu scenach pt.: Markownik. Obozowisko restauracyjne, Park, Kolumbaria, Panopticum I i II, Rozwiązanie Gwardii. Całość, niełatwa do ucieleśnienia scenicznego, dała spektakl spójny i w nieskażonym klimacie Schulzowskim. Toteż nagrody, przynane Romanowi Nowotarskiemu i Stanisławowi E. Molkowi i za adaptację, inscenizację, opracowanie plastyczne i reżyserię, są jak najbardziej zasłużone (szkoda, że nie mogły być pokaźniejsze).

Lubelski „Gong 2" rośnie artystycznie na naszych oczach. „Kamena" odnotowała już poprzednio zalety spektakli: „Pieśni i songi pana Brechta", „Elżbieta Bam", dynamicznego; urozmaiconego mnóstwem pomysłów widowiska staropolskiego „Dialog na Święto Narodzenia", wykonywanego z werwą, a zarazem niemal z zawodową aktorską precyzją. Obok „Dialogu" pokazał Andrzej Rozhin na festiwalu widowisko „Testament" wg „Wielkiego testamentu" Villona, w przekładzie Boya-Żeleńskiego. Tym razem Rozhin zaprezentował się nam nie tylko jako dramaturg i reżyser, ale i jako wykonawca głównej roli, odnosząc potrójny sukces. Wydaje mi się, iż głównym jego powołaniem jest jednak twórcza rola inscenizatora i reżysera; zresztą orzeknie o tym przyszłość, która przyniesie więcej doświadczeń. Interesujący był pomysł nawiązania treści późnego średniowiecza do współczesności przez wprowadzenie nowoczesnego dysonansu w postaci ustawionego na scenie pianina i mikrofonu. Dobry też efekt dała trawestacja niektórych ballad Villonowych w „songi". Podobała mi się, wraz ze scenografią Leszka Mądzika, końcowa scena powieszenia Villona in effigie. Słusznie została nagrodzona muzyka Jacka Popiołka.

W tej bardzo skrótowej z braku miejsca relacji muszę tylko wymienić pomysłowe, estetyczne i czytelne widowisko pantomimiczne „Alarm" „Studia miniatur" ze Szczecina, zespołu, który po niecałych dwóch latach dopracował się już wysokiego poziomu dzięki kulturze artystycznej i talentom grupy z Andrzejem Zubczewskim na czele.

Bardzo okazale prezentowała się wystawa teatralna przygotowana na festiwalu głównie staraniem świetnych scenografów krakowskich, Elżbiety i Leona Barańskich, stale współpracujących z „Gongiem 2".

Pomijam nieporozumienie, jakim były ekstrawaganckie produkcje Teatru Leniwego Widza z Opola, o którego drogach wypowiadałam się sceptycznie już po II SWT.

M. B.-R.

Polska niepokorność

Ciąg dalszy ze str. 7

by z Gałek Krzczonowskich *) nie wyleciała. Łomot kolb o drzwi, wystrzały, krzyki, przekleństwa — wszystko zlewa się w jeden nieopisany zgiełk, który spada nagle na uśpionych ludzi. Wszyscy co do jednego zostają wypędzeni na dwór. Z mężczyzn formują oddzielną grupę i pod automatami prowadzą do stodoły Wasiaka, obok szkoły. W tej grupie znajdują się także dwie kobiety. Jedna to właśnie Bronisława Cieślak, druga — miejscowa nauczycielka. Pomimo że przez cały okres pobytu Hubal nikomu nie pozwalał wydalać się ze wsi, wygląda, iż Niemcy mają doskonałe rozeznanie. Bez pudła trafiają do domu, gdzie mieszkał major, bez wahania wybierają spośród innych kobiet Bronisławę Cieślak. Jak sama twierdzi, Niemcy „brali z listy", a ona również na tej liście była. Miała jednak szczęście. W ogólnym rozgardiaszu, jaki wynika w momencie wprowadzania mężczyzn do stodoły, żołnierz w zielonym mundurze, zdezorientowany — a może w przypływie litości — odpycha Bronisławę, dziewczyna wpada do pobliskiej piwnicy, przez małe okienko ma możność obserwować z bliska dalszy tok wypadków.

Wkrótce rusza pieszy konwój w kierunku Gielniowa. Tam ładują aresztowanych na samochody i odwożą w stronę Radomia. Oprócz nauczycielki nikt już nie wróci. Pod Radomiem rozstrzelano czterdziestu mężczyzn z Gałek Krzczonowskich i dwudziestu z pobliskiego Mechlina.

• • •

Z pogromu ocalało tylko trzynastu. Przypadkowo. Pięciu mężczyzn pojechało na noc do odległego młyna, ośmiu zawieruszyło się „na kawalerce" gdzieś w sąsiednich wsiach. Ale po tygodniu historia się powtórzyła. Sytuacja była nieporównanie groźniejsza. Niemcy postanowili tym razem wymordować wszystkich mieszkańców, a całą wieś zrównać z powierzchnią ziemi. Wokół gromady mężczyzn, kobiet i dzieci rozstawiono karabiny maszynowe...

Jak on krzyknął te ostatnie swoje słowa, że „spłoną wasze domy, a wy zginiecie za waszego majora", jak zawołał, że nas zaraz z maszynek strzelać będą, powstał taki płacz i lament, że dziś aż trudno to sobie wyobrazić. Tu chłopy się z kobitami żegnają, Niemcy krzyczą, do karabinów się przymierzają, a my, dzieci i dziewczyny, głowy sobie w fartuchy matek owijaliśmy, żeby chociaż huku nie było słychać, jak nas będą zabijać. Ale co się raptem dzieje... Już, już oni mają zaczynać, jak patrzymy, drogą z góry od dębiny jeden na motorze leci i tak mu się widać spieszy, że jeszcze jedzie a tu już z motocykla na swoich krzyczy, macha ręką. No więc okazało się, że w ostatniej chwili gdzieś tam rozkaz odmienili. Zaczęli tylko granatami rzucać w chałupy, co się od wybuchu nie rozleciało to i tak ogień zniszczył. Tak wieś zrównali z ziemią. Gruntownie.

Potem co takiego? Potem wzięli wszystkich chłopów, tych dwunastu, co się zostało, nie trzynastu, bo jeden, Jan Wasiak, osiemnaście lat mu było, jeszcze na samym początku zdążył wyskoczyć ze wsi i uciec, więc wzięli tych dwunastu, co się zostało, związali powrozem i poprowadzili do lasu. Myśmy myślały, może ich znowu gdzie do Radomia do jakiego więzienia powieźli? Ale na trzeci dzień jedna kobita kostkę w lesie znalazła, a obok była świeżo ubita ziemia. Dopiero z płaczem — krzykiem poleciała do wsi. I już wiedziałyśmy co się stało. Jak potem Niemcy pozwolili kopać, dwunastu naszych chłopów pod tą ziemią leżało...

• • •

Kobiety zostały same, na gołym polu. I dopiero teraz ujawniła się cała hitlerowska perfidia: wieś zburzono, ale ziemia została, ziemi nie odebrano, ale... zakazano ją uprawiać. Nikomu nie wolno nawet podejść do zgliszcz Gałek Krzczonowskich. Odtąd przez cały rok kobiety, mieszkające teraz w okolicznych miejscowościach, będą się skradały w kierunku Gałek, aby z narażeniem życia sadzić, siać i zbierać. Po roku Niemcy okazali się „łaskawi" — oficjalnie zezwolili na uprawę ziemi.

Jeszcze przez dwa lata pozostała przy życiu ludność tułała się po okolicy. Po trzech latach okupanci wykazali jeszcze więcej łaskawości — pozwolili wracać na dawne pogorzeliska. Zresztą, ile w tym geście „łaskawości", a ile strachu? Kielecczyzna pęczniała już od oddziałów partyzanckich, których lepiej było nie drażnić.

A więc kobiety i dzieci wracają. Spod narosłej na zestarzałych pogorzeliskach ziemi wyciągają resztki belek, wygrzebują przepalone kamienie. Wznoszą prymitywne, pokraczne budowle, wierzch przykrywają snopami słomy. Wieś cofnęła się w wyglądzie o dwieście lat, ale ludzie znowu są na swoim.

Kurne chaty, jeszcze nie raz dadzą schronienie partyzantom. Przyjdą do wsi i zamieszkają na kupie z babami, dziećmi, krowami, świniami w roku 1943, a potem w 1944. Teraz jednak ludzie nauczyli się ostrożności. W czterdziestym roku zachłystywali się mirażem wolności, byli ufni, oddani, nieostrożni, naiwni. Obecnie są także oddani, ale równocześnie przebiegli, chytrzy i przewidujący. Wówczas byli konsumentami wolności, dzisiaj są świadomymi uczestnikami walki o jej odzyskanie. Stanowią straż tylną partyzantów.

Są zawsze w pogotowiu. Nawet świąteczną odzież zakopują po powrocie z kościoła w leśnych kryjówkach.

Znowu Bronisława Cieślak:

Po tym wszystkim, co oni z nami zrobili, ja się przez trzy lata ukrywałam, jako, że wtenczas, za pierwszym razem, mieli mnie na liście. Ale po trzech latach zaczęło się robić coraz ciszej to wróciłam na swoje. Mieszkałyśmy po tych obórkach i jakoś się żyło. Ale jak tylko człowiek pozwolił sobie na chwilę nieuwagi, to już tak się musiało zdarzyć, że zaraz był stratny albo poszkodowany. Przez nieuwagę straciłam raz świąteczne ubranie. A to w ostatniej bitwie z Niemcami, cośmy się znowu spalili. Datę pamiętam dobrze, bo akurat był odpust, a odpust jest w Gielniowie 25 września. No to poszłam na odpust, wróciłam pod wieczór, ale że zmęczona, myślę, rano ubranie zakopię. Ostatnio — spokojnie. I masz, zaraz z samego rana dwudziestego szóstego, skądeś zajechało do wsi pełno Niemców. Ale to nie te czasy były, co wpierw. Naraz z przysuskiego lasu wylecieli partyzanci i tak ich natłukli, że swoich zabitych Niemcy na dwie ciężarówki ładowali. Przy okazji chałupy się znowu paliły, a z nimi moje świąteczne ubranie. Partyzantami podobno dowodził Moczar. O, po tej bitwie Niemcy już długo do Gałek nie zajrzeli.

• • •

Z nadejściem zimy mieszkańcy Gałek Krzczonowskich siedzieli już w odbudowanych „obórkach". Niemcy zrobili im jeszcze wigilijną „niespodziankę". 14 grudnia 1944 r. popędzili wszystkich do leżącego za laskiem Mechlina. Tam, ustawieni w długi szereg, ludzie musieli przedefilować przed oknem jednego z domów. Wewnątrz stali oficerowie i bacznie przyglądali się każdemu przechodzącemu. Najprawdopodobniej szukali kogoś ukrywającego się w okolicy. Noc wigilijna minęła — jeśli można to tak określić — spokojnie i bez poważniejszych następstw. I to był dla kobiet i dzieci z Gałek Krzczonowskich koniec okupacji. W styczniu do wsi wkroczyły wojska radzieckie.

• • •

Wracając do Kielc zatrzymałem się w lesie niedaleko Przysuchy. Po przejściu kilkudziesięciu metrów znalazłem się na sporej polanie. Jej centrum zajmował cmentarzyk. Groby przeważnie „żołnierskie", z niewielkimi betonowymi krzyżykami i białymi tabliczkami. Gdzieniegdzie okazalszy lastrykowy nagrobek. Na środku wysoka pożółkła brzoza. Wszystko otoczone niskim,

Dokończenie na str. 11

*) Gałki Krzczonowskie — nie: Gałki, jak podaje Wańkowicz.

Wielkość nieprzemijająca

Dokończenie ze str. 8

damentów w r. 1839. Ocalała jedynie oficyna administracji. Od tego momentu, odremontowana, musiała służyć jaśnie państwu za siedzibę. Ten to 13-pokojowy drewniany dom, pomalowany na kolor bladoliliowy, dom z werandą spowitą bluszczem, stał się przybytkiem, w którym narodziło się kilka najlepszych utworów pisarza. Chyba sprzyjała temu po części artystyczna atmosfera wnętrza. Na ścianach były zawieszone kopie najznakomitszych obrazów włoskiej i francuskiej szkoły, szafy biblioteki zawierały ponad dwadzieścia tysięcy książek w językach rosyjskim, polskim, francuskim, angielskim, niemieckim, włoskim, hiszpańskim, łacińskim.

Ale i ten dom się spalił, już znacznie później, na początku naszego stulecia.

Do dziś przetrwała tylko oficyna — muzeum. „Oficyna wygnańca", gdzie Turgieniew mieszkał w r. 1852—53, skazany przez rząd carski na przymusowy pobyt w swym majątku, w gruncie rzeczy wskutek opublikowania „Zapisków myśliwego", będących żywym protestem przeciw poddaństwu chłopów.

Turgieniew, obrońca ciemiężonych, gdy tylko odziedziczył po matce majątek, nie tylko zniósł w swych posiadłościach poddaństwo, ale i wybudował dom starców dla byłych sług swojej matki, a także szkołę, o którą się stale troszczył nawet przebywając za granicą. Nie na długo przed śmiercią pisał on do chłopów spasskich: *Pamiętajcie, że w naszych czasach analfabeta jest podobny do ślepca lub człowieka bezrękiego.*

Wracam sama z kierowcą Sieriożą, dyr. Owsiannikowa musiała zostać, by zapoznać się ze stanem prac przy odbudowie dawnego domu Turgieniewa, państwo radzieckie nie szczędzi na to funduszy.

Dzień nadal słoneczny. Sierioża włącza radio. Słuchamy audycji Oskara Borysa Feldmana. Muslia Magomajew śpiewa swym cudownym barytonem: *Gori ogniom, kak Promietiej...*

Maria Bechczyc-Rudnicka

Polska niepokorność

Dokończenie ze str. 10

masywnym kamiennym murem pomalowanym na ciemnoszary kolor. Była jeszcze wielka tablica z napisem: *Miejsce spoczynku 215 mieszkańców ze wsi Skłoby i okolic, bestialsko zamordowanych przez okupanta hitlerowskiego w dniu 11 kwietnia 1940 roku.* Kolejny niemiecki odwet. Za bój pod Huciskami.

Od polany biegła szeroka leśna przesieka. Po jej obu stronach — las cały w wygaszonej żółci, czerwieni i brązie. W oddali przesieka urywała się, widać było typowy pofałdowany kielecki krajobraz. Część przesieki zajmowało kartoflisko. Na środku pólka stał stary, wysoki chłop w wyświechtanych, welwetowych spodniach, burym, robionym na drutach swetrze i granatowym berecie. Z widłami, którymi przetrząsał resztki zeschłych łętów, śmiesznie kontrastowały okulary o nowoczesnym kształcie, w rogowej oprawie. Podszedłem, zagadaliśmy. *Nieszczęśliwa moja ziemia* — powiedział w jakimś momencie. — *Przed wojną nie było na niej cmentarza. — Pan tu gdzieś z okolic?* — zapytałem. *Ze Skłobów. Sami starzy znajomi tutaj leżą. Byłbym i ja, ale jak Niemcy ludzi brali, nie było mnie we wsi.* Zapalił „Sporta" i zabrał się z powrotem do szukania niedozbieranych kartofli. Stałem jeszcze przez pewien czas, też paliłem i patrzyłem jak pracował.

Mirosław Derecki

KONKURS WYDAWNICTWA HARCERSKIEGO

Wydawnictwo Harcerskie ogłasza konkurs otwarty na opowiadanie literackie dla dzieci w wieku 12—14 lat.

Objętość opowiadania 1—1,5 arkusza autorskiego (40—60 tysięcy znaków).

Praca oryginalna, nigdzie dotąd i w żadnej formie nie publikowana.

TERMIN NADSYŁANIA PRAC 31 MARCA 1969 R.

Opowiadania powinny poruszać problemy istotne dla współczesnego środowiska dziecięcego w Polsce, powinny pomóc dzieciom w przyjmowaniu właściwych postaw wobec aktualnych, ważnych we współczesnej polskiej rzeczywistości problemów i konfliktów moralnych, ideowych, światopoglądowych i obyczajowych, z którymi dziecko styka się bezpośrednio, bądź przez środowisko dorosłych.

Nagrody: I — 5 000 zł, II — 3 500 zł, III — 2 000 zł, 3 wyróżnienia po 1 000 zł.

Jury ma prawo zmienić wysokość i liczbę nagród.

Wydawnictwo Harcerskie zastrzega sobie prawo pierwodruku prac.

Bliższe informacje: Warszawa, tel. 21-90-29, godzina 14—16.

od BIEBRZY po BIESZCZADY

BIAŁYSTOK

● W salach Muzeum Ruchu Rewolucyjnego w Białymstoku otwarto wystawę pn. „Tradycje PZPR w województwie białostockim". Pokazuje ona ruch robotniczy na Białostocczyźnie w latach 1918—1948. Autorami scenariusza są Elżbieta Manusiak i Gereon Iwański.

● Przy dziale łączności z czytelnikami „Gazety Białostockiej" utworzony został Zespół Badania Opinii Publicznej. Będzie on prowadził badania głównie nad czytelnictwem prasy w województwie. Na apel gazety zgłosiło się już 150 osób: będą one społecznymi ankieterami w powiatach i gromadach.

● Interesująca inicjatywa Teatru im. Węgierki! Scena Kameralna została uzupełniona kawiarnią. Publiczność może wejść na salę na długo przed przedstawieniem i przy stolikach wypić kawę. Po przedstawieniu zainteresowani dyskutują nad obejrzanym spektaklem. Nowy sezon Scena Kameralna rozpoczęła premierą sztuki Ivesa Jamiaque'a — „Punkt C". W planach: widowisko oparte na tekstach Hułata Okudżawy oraz „Wygnańcy" Jamesa Joyce'a.

● W Białymstoku odbyło się plenarne posiedzenie Zarządu Głównego PTTK. Temat obrad — zadania Towarzystwa w świetle uchwały WRN w sprawie rozwoju turystyki i wypoczynku na Białostocczyźnie.

● W warszawskiej „Zachęcie" w ramach Ogólnopolskiej Wystawy „25-lecie Ludowego Wojska Polskiego w twórczości plastycznej" prezentowali również swoje prace plastycy białostoccy — Danuta Łabanowska, Jerzy Lengiewicz i Stefan Rybi. Również w Warszawie w salonie Federacji Amatorskich Stowarzyszeń Fotograficznych otwarto wystawę indywidualną fotogramów białostoczanina Wiktora Walkowa.

KIELCE

● W Sandomierzu odbył się IV wojewódzki zjazd społecznych opiekunów nad zabytkami. Wzięło w nim udział ok. 200 osób z terenu województwa. M. in. wygłoszono referaty poświęcone sprawie ratowania Sandomierza, odbudowie sandomierskiego zamku oraz zabytkom archeologicznym Kielecczyzny. Wiele mówiono na temat ratowania zagrożonych zabytków i zainteresowania tą sprawą młodzieży.

● 21 października odbyła się w Kielcach uroczysta inauguracja zajęć na tutejszym Wieczorowym Uniwersytecie Marksizmu-Leninizmu. Wykład inauguracyjny wygłosił członek Egzekutywy KW PZPR, red. nacz. „Słowa Ludu", dr Marian Skarbek.

● Radom otrzyma lokalną rozgłośnię radiową. Będzie ona wybudowana w dzielnicy Planty. Na razie zapadła decyzja, a stacje radiowe i telewizyjne przystąpiły do wykonania projektów technicznych. Konkretnego terminu przekazania rozgłośni do użytku jeszcze nie ustalono.

● Kolejny sukces pisma zakładowego KZWM z Kielc „Głos Załogi". W konkursie na najlepiej prowadzoną działalność propagandową i organizatorską w zakresie ochrony pracy ogłoszonym przez Główny Inspektorat Pracy CRZZ, zespół „Głosu Załogi" otrzymał wyróżnienie. Wyróżniony został także red. W. Motyka z tej redakcji. Warto odnotować, iż w marcu gazeta została wyróżniona w konkursie Ministerstwa Przemysłu Ciężkiego.

● Na Kielecczyźnie istniało do niedawna 450 klubów „Ruchu". Ostatnio jest ich o 16 mniej. Zlikwidowane zostały ze względu na... „zawalenie się lokalu". Tak przejawia się czasem opieka GRN nad podarunkami otrzymanymi od „Ruchu"!

LUBLIN

● Wśród delegatów na V Zjazd PZPR wybranych 26 października na Wojewódzkiej Konferencji Wyborczej w Lublinie jest również Zygmunt Mikulski, prezes Lubelskiego Oddziału ZLP, członek Kolegium Redakcyjnego „Kameny".

● Przez trzy dni trwał w Lublinie IV Ogólnopolski Festiwal Filmów Rolniczych. Prezentowano przede wszystkim rolnicze filmy instruktażowe (zawodowe i amatorskie), a także filmowe reportaże o problematyce wiejskiej. Pierwszą nagrodę, „Złotą Koniczynkę", otrzymał film Witolda Powada „Dlaczego wapnujemy glebę". Dwie równorzędne drugie nagrody przyznano filmowi: T. Stefanka „Chrońmy gleby przed erozją" oraz „Dzień dobry dzieci" Ireny Kamińskiej. Szereg filmów otrzymało wyróżnienia.

● W 24 rocznicę powołania do życia Uniwersytetu im. Marii Curie-Skłodowskiej odbyła się w Lublinie uroczysta inauguracja nowego roku akademickiego. Aktu otwarcia dokonał prorektor prof. dr Zbigniew Lorkiewicz. Warto odnotować m. in. wystąpienie dyrektora puławskich „Azotów", który poinformował o przekazaniu przez kombinat 20 mln zł na kontynuowanie budowy Gmachu Chemii UMCS.

● W dniach 19 i 20 października Katolicki Uniwersytet Lubelski obchodził 50-lecie istnienia. W ramach obchodów (inaugurujących nowy rok akademicki) odbyła się uroczysta akademia jubileuszowa. Przybyli na nią przedstawiciele Ministerstwa Oświaty, władz wojewódzkich i miejskich, a także przedstawiciele Episkopatu z ks. kardynałem Stefanem Wyszyńskim.

● W Teatrze im. J. Osterwy — premiera szekspirowskiego „Hamleta". Reżyseria Kazimierza Brauna, w roli głównej — Andrzej Gazdeczka.

● Zespół Tańca Ludowego UMCS obchodził 15-lecie działalności. W ramach obchodów zespół wystąpił z koncertem zatytułowanym „Tobie Ojczyzno"; zorganizowano też seminarium folklorystyczne z udziałem polskich regionalistów z całego kraju.

RZESZÓW

● W Rzeszowie odbyła się uroczysta inauguracja nowo otwartego przy WUML Studium Wychowania Socjalistycznego. Zostało ono zorganizowane z myślą o nauczycielach wychowania obywatelskiego szkół średnich.

● Podczas uroczystej inauguracji roku kulturalno-oświatowego w Rzeszowie wręczono szereg nagród, przyznanych przez władze miejskie za upowszechnianie kultury. Otrzymali je: dr Aleksander Codello, red. Helena Wiśniewska z „Nowin Rzeszowskich", aktor i reżyser miejscowego teatru Ireneusz Erwan oraz (pośmiertnie) były dyr. Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej w Rzeszowie, mgr Stanisław Piziak.

● W rzeszowskim Muzeum Okręgowym czynna jest wystawa malarska „Dzieje oręża polskiego w malarstwie Stefana Zajączkowskiego". Jednocześnie otwarto w Muzeum ekspozycję „Wojsko Polskie 1939—1968" prezentującą zestaw fotokopii dokumentalnych zdjęć z pól bitewnych, reprodukcji odznaczeń itp.

● W Przemyślu obradował ogólnopolski sejmik muzealników. Odbywał się on pod hasłem: „Muzea ośrodkami wychowania obywatelskiego i patriotycznego".

● 14 przewodników turystycznych z Łańcuta przebywało na wycieczce szkoleniowej w ZSRR. Zapoznali się oni z organizacją i metodami pracy radzieckich biur turystycznych, zwiedzili zabytki Moskwy i Leningradu.

Pół wieku archiwum w Lublinie

W ROKU 1827 w Lublinie powstało Archiwum Akt Dawnych, prowadzone początkowo przez Piotra Zagrobskiego. Zgromadził on około 4—5 tys. ksiąg. Zbiory mieściły się w gmachu klasztoru pobernardyńskiego. W roku 1877 władze rosyjskie wywiozły akta do Wilna i archiwum przestało istnieć.

Ponownym gromadzeniem w Lublinie starych dokumentów zajął się dopiero w roku 1916 dr Józef Seruga, działający w porozumieniu z krakowską Akademią Umiejętności. Chodziło o zabezpieczenie najcenniejszych bodaj archiwaliów przed zaborcami austriackimi, którzy wydali nakaz przekazania wszystkich dawnych akt na makulaturę.

Pierwsze archiwum państwowe powstało w Lublinie 1 grudnia 1918 roku, a dyrektorem jego został uczony, prof. dr Stanisław Ptaszycki, były profesor Uniwersytetu Petersburskiego, jego zastępcą zaś dr Piotr Bańkowski. Po wyjeździe prof. Ptaszyckiego do Warszawy stanowisko dyrektora objął przybyły z Poznania prof. dr Leon Białkowski. Kustoszami archiwum byli w okresie międzywojennym dr Jan Riabinin i prof. dr Aleksander Kossowski. W roku 1919 Ministerstwo Dóbr Państwowych przyznało na potrzeby archiwum część gmachu przy ul. Narutowicza 10 i jedno skrzydło byłego Pałacu Gubernatora przy Placu Litewskim. Mimo tego broszura pt. „Archiwa polskie zagrożone", wydana w roku 1939, wymieniała zbiory lubelskie jako zagrożone zniszczeniem z powodu nieodpowiednich warunków przechowywania dokumentów.

W czasie wojny archiwum lubelskie przechodziło podobne losy jak i inne instytucje tego typu. Wiele cennych akt uległo zniszczeniu, lub zostało rozgrabionych. Po wyzwoleniu ciasnota stała się jeszcze dokuczliwsza, gdyż archiwum przejęło stare księgi podworskie i z upaństwowionych zakładów pracy. Sytuacja zmieniła się radykalnie dopiero w roku 1965, gdy placówka lubelska otrzymała świeżo odbudowany gmach byłego Kolegium Jezuickiego. Jest to w chwili obecnej najpiękniejszy lokal zajmowany przez archiwum w Polsce. W magazynach Woj. Arch. Państw. oraz w magazynach podległych mu archiwów powiatowych w Chełmie, Zamościu, Kraśniku, Fabrycznym i Łukowie znajduje się 558 tysięcy ksiąg zawierających różne dokumenty. Najstarszym jest akt nadania Lublinowi praw miejskich, wystawiony 15 sierpnia 1317 roku przez Władysława Łokietka.

50-lecie swego istnienia Wojewódzkie Archiwum Państwowe w Lublinie uczciło okolicznościową akademią połączoną z sesją naukową. Na uroczystości przybyli przedstawiciele władz, środowiska naukowego i kulturalnego. Przewodniczący Prez. WRN w Lublinie, Paweł Dąbek, udekorował dyrektora WAP mgr Franciszka Cieślaka, kierownika archiwum w Kraśniku Jana Stelmaszczyka i adiunkta WAP mgr Stanisławę Paulową Złotym Krzyżem Zasługi, a kustosza WAP mgr Wojciecha Zyśkę — Srebrnym Krzyżem Zasługi, przyznanymi im przez Radę Państwa. Wiceprzewodniczący Prez. MRN Ignacy Olech przekazał WAP Medal 650-lecia Lublina, przyznany tej instytucji przez MRN. Uczestnicy akademii wysłali telegramy gratulacyjne do długoletnich pracowników archiwum, a obecnie już rencistów — prof. dr Piotra Bańkowskiego i mgr Kazimiery Gawareckiej.

W czasie sesji naukowej dr Maria Stankowa wygłosiła referat o prof. Ptaszyckim, mgr Paulowa mówiła o nie znanych szerzej materiałach sądowych do biografii Mikołaja Reja, zaś mgr Helena Szawdzin i mgr Zyśko dokonali przeglądu materiałów dotyczących historii KPP, a znajdujących się w WAP i w zbiorach archiwalnych KW PZPR.

R.W.

P.S. „Kurier Lubelski" podał, że dyr. Cieślak wygłosił na sesji referat o polonicach znajdujących się w Centralnym Archiwum Państwowym ZSRR w Leningradzie. Daję słowo honoru, że nie wygłosił — ze względu na późną porę, bo w programie referat ten był przewidziany. Sprawozdawcę „Kuriera" widziałem na uroczystościach. Zapewne jednak nie zdzierżył do końca, więc napisał z programu, nie upewniając się. Oj, Leszku, a od czego telefon?

Listy do KAMENY

POMNIK NARODOWEJ PAMIĘCI

Wojciech Białasiewicz w artykule „Pomnik narodowej pamięci" („Kamena" nr 19 b.r.) wspomina o bitwie na polach kol. Zastawie koło Krasnegostawu w dniu 19 września 1939 r. na podstawie książki płk płk L. Głowackiego i A. Sikorskiego „Kampania wrześniowa na Lubelszczyźnie". Równocześnie wyraża żal, że wiele epizodów walk z tamtego czasu okrywa tajemnica. Tak jest w istocie, bo nawet i w tej nieszczęsnej bitwie na polach Zastawia zapomniany został batalion, który tam najbardziej się wykrwawił. Byłem dowódcą plutonu w jednej z kompanii tego batalionu, powstałego z rezerw 8 PP Leg. w Lublinie w pierwszych dniach września pod kryptonimem „Michał", który jako batalion trzeci 83 PP pod dowództwem mjr Lasoty Michała do dnia 13 września zajmował stanowiska obronne nad Wisłą między Parchatką a Bochotnicą. Wieczorem 13 września opuścił stanowiska i nocnymi marszami przez Wąwolnicę, Kurów, Niemce, Krasienin, Kijany, Melgiew, Jaszczów, Dorohucze, Pawłów, Rejowiec, Krupe dążył w kierunku Zamościa. Od Dorohuczy batalion szedł w ubezpieczeniu tylnym wielkiej marszowej kolumny, w której skład wchodziły jakieś nieznane mi jednostki piechoty, kawalerii i artylerii. Mój pluton był ostatnim członem ubezpieczenia. O świcie 19 września ubezpieczany przez nas ogon kolumny skręcił pod kątem prostym na prawo. W tym momencie z lewej strony zaczął pruć długimi seriami karabin maszynowy. W kolumnie przed nami zakotłowało się. Kilka koni zmieszał się z wrzaskiem ludzi. Nie słyszałem tam żadnej komendy, dlatego rozwinąłem swój pluton i ruszyłem z nim na strzelający karabin. Niemcy, zaskoczeni z boku, przerwali morderczy ogień i wycofali się, ginąc nam z oczu w najbliższym wąwozie. Poszliśmy za nimi w pościg. W wąwozie zgubiliśmy ślad. Nie tracąc czasu na przetrząsanie wąwozu, ruszyliśmy dalej w pościg. Tym razem ogień był bardzo bliski i groziła nam całkowita zagłada. Poderwałem pluton do szturmu. Daremnie, po kilku krokach skosiły nas serie karabinów maszynowych. Ranny, przekazałem dowództwo podchorążemu Henrykowi Bierutowi. Uniósł głowę, by wydać rozkaz i zamilkł w pół zdania. Pluton przestał istnieć. Kilkakrotnie zbliżała się do nas linia naszego natarcia i cofała się pod zmasowanym ogniem broni maszynowej i moździerzy. Walka trwała do późnych godzin popołudniowych. Wieczorem tłum rannych zaścielił plac przy torze kolejowym obok stacji Krasnystaw. Wśród nielicznych jeńców nie zauważyłem dowódcy batalionu. Według zeznania żołnierzy dowódca naszej kompanii por. Ludwik Guz poległ. Leżąc między liniami walczących, nie wiedziałem, kto jeszcze oprócz naszego batalionu brał udział w natarciu w owej bitwie. W każdym razie nasz batalion rozpoczął walkę [...] O nieznanych mi wówczas losach batalionu dowiedziałem się dopiero po powrocie ze szpitala od por. Jerzego Grylskiego, który był dowódcą plutonu w kompanii karabinów maszynowych w naszym batalionie. W bitwie koło Krasnegostawu nie brał on udziału, bo tylko część batalionu — zmęczona nocnymi marszami, straciła łączność z kolumną, zbłądziła, schodząc na drogę przez kol. Zastawie. Reszta, z dowódcą batalionu, poszła dalej i dopiero w bitwie pod Krasnobrodem uległa zagładzie [...] Obszerniejszą moją relację o tym zagubionym batalionie drukowała „Nowa Wieś" w jednym ze swoich numerów w 1960 roku.

Stanisław Puch
Trawniki k. Lublina

POGOTOWIE RATUNKOWE?

TYLKO człowiek nienormalny, albo też obdarzony przez naturę wątpliwym poczuciem humoru może pytać, co to takiego Pogotowie Ratunkowe i czemu ono służy. Wszyscy bowiem znają doskonale sens i rolę tej potrzebnej instytucji, będącej rezultatem i wyrazem społecznego humanitaryzmu. Ja jednak, po niedawnym doświadczeniu, będąc człowiekiem w pełni władz umysłowych pytam: po co jest Pogotowie Ratunkowe? Do postawienia tego pytania posiadam pełne prawo moralne.

20 października około godziny 16 mój dwu i pół roczny syn dostał nagle gorączki, początkowo niewysokiej — 38 stopni. Po dwóch godzinach termometr wskazał 39,5 stopnia, a koło godz. 20 — już 41 stopni. Aczkolwiek taka temperatura u dziecka w tym wieku nie zapowiada jeszcze tragedii, ale zrozumiałe, że budzi poważny niepokój, tym bardziej u rodziców dziecka, które nie tak dawno temu przeszło wyczerpującą chorobę. Pobiegłem więc do odległego o kilkaset metrów hotelu robotniczego na Kalinowszczyźnie, aby stamtąd zatelefonować po Pogotowie. (Warto poinformować, że na całym nowym osiedlu spółdzielni „Kolejarz" jest tylko jeden telefon — w administracji czynnej do godz. 15. Tak to wyposażone jest nowe, nowoczesne, pożal się boże, osiedle!) Dopadłem więc do telefonu. O godzinie 20,30 pani z Pogotowia przyjęła zgłoszenie, lecz dodała, że lekarz przyjedzie nie wcześniej niż za godzinę, bo właśnie z pakietem wcześniejszych zgłoszeń wyjechał do miasta. Prosiła też, abym czekał na ulicy, ponieważ słabo oświetlone i pozbawione widocznej numeracji osiedle uniemożliwia odszukanie właściwego bloku mieszkalnego. Jeszcze jeden „kolejarski" kwiatek, pachnący skandalikiem. Wróciłem do domu. Dziecko majaczyło. O godzinie 21,15, a więc na wszelki wypadek nieco wcześniej, niż powinienem, wyszedłem na ulicę. Minął wyznaczony moment, minęła godz. 22, a karetki ani śladu. Pół godziny później dzięki życzliwości strażnika pobliskiego przedsiębiorstwa, ponownie zatelefonowałem do Pogotowia. Pani poinformowała mnie, że i owszem, adres mój ma zanotowany, ale cóż z tego, karetki nie wróciły jeszcze z poprzedniego objazdu. Co mam robić? Po prostu czekać. Jak długo? Tego pani nie wiedziała... Na moją uwagę, że pogotowie to szybka pomoc dla kogoś, kto jej potrzebuje, pani odparła, że mam słuszność, ale karetki nie stworzy. Pogotowie lubelskie dysponuje tylko dwoma lekarzami na nocnym dyżurze i nie są oni w stanie szybko udzielić pomocy bo liczba wezwań jest bardzo duża. Po czym słuchawka spadła na widełki. Zaklątem. Strażnik też klął i radził mi zastosować mało kulturalną, ale, jak sądził, skuteczną presję słowną. Zrezygnowałem z proponowanej metody i wyszedłem ponownie na ulicę. Z pewną nieufnością przypatrywali mi się patrolujący ten rejon milicjanci: facet sterczy w takie zimno na rogu ulicy — podejrzanie długo. O godz. 23.05 zrezygnowałem. Pobiegłem do domu. Dziecko majaczyło nadal, temperatura nie opadła. Ubrałem cieplejszy płaszcz i wróciłem na posterunek, który opuściłem na przeciąg 20 minut. I znów bezcelowo. Przed godz. 24 wróciłem do domu, chcąc się naradzić z żoną, co robić. Byliśmy sami, z dzieckiem, nie znaliśmy sąsiadów, wśród których mógł być przecież lekarz. Zdecydowaliśmy się odwieźć dziecko do szpitala, kiedy temperatura nagle opadła do 38 stopni. Postanowiliśmy czekać do rana. Pogotowie nie przyjechało. Może zjawiło się w tym właśnie momencie, kiedy przebieraliśmy się w domu w jesionkę, i nie mogąc trafić do mego domu, odjechało? Nie wiem. Wiem natomiast, że skandalem jest oczekiwanie na Pogotowie Ratunkowe trzy godziny, a właściwie całą noc — bezskutecznie. Wiem także, że dwóch lekarzy dyżurnych w 340-tysięcznym mieście, to kpiny z obywateli. A piszę to w celu uprzedzenia lublinian, żeby na Pogotowie zbytnio nie liczyli. A także kierowany nadzieją, że może list mój zwróci uwagę kierownictwa Pogotowia oraz Wydziału Zdrowia PMRN, które to instancje powinny poczuwać się do wyjaśnienia tej co najmniej przykrej sprawy.

I. Kamiński
Lublin

KSIĄŻKI NADESŁANE

WYDAWNICTWO ŁÓDZKIE

Kazimierz Sławiński — W powietrzu i na ziemi, Łódź 1968;

Tadeusz Chróścielewski — Szkarłatna godzina, powieść historyczna o młodzieży polskiej z lat 1855—1863, Łódź 1968;

Krzysztof Zuchora — Jasnowłosej — debiut poetycki, Łódź 1968;

Tadeusz Giegier — Zimowy owoc, wiersze, Łódź 1968;

Emil Granat — Wracając ziemią — debiut poetycki, Łódź 1968.

»KAMENA«

Pismo lubelskiego oddziału Związku Literatów Polskich. Redaguje zespół: KONRAD BIELSKI, JERZY DOSTATNI (sekretarz redakcji), MAREK ADAM JAWORSKI (redaktor naczelny), ZYGMUNT MAŃKOWSKI, ZYGMUNT MIKULSKI — członkowie Kolegium Redakcyjnego, oraz: MIROSŁAW DERECKI, IRENEUSZ J. KAMIŃSKI (kierownik działu publicystyki) i ROMUALD WIŚNIEWSKI. Redakcja techniczna i korekta ALICJA KRÓLIKOWSKA.

Informacji w sprawie prenumeraty udzielają placówki pocztowe i Ruch. Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty.

Wydawca: Lubelskie Wydawnictwo Prasowe RSW PRASA, Lublin, Aleje Racławickie 1. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, ul. Unicka 4.

Adres redakcji:
Lublin, ul. Narutowicza 35
tel. 255-93

Korespondencję zwykłą prosimy kierować na adres: Lublin 1, skrytka pocztowa 131; poleconą i ekspresową — na adres redakcji.

Zam. 3416 22.X.68 C-6

MINUTA MYŚLENIA

Nad poziom człowieka

DOPIERO co zakończyła się meksykańska olimpiada.

Mimowoli zdanie powyższe zawiera coś z antyku, jako że olimpiadami grecka starożytność mierzyła swój czas. Nie chodzi tu jednak o reminiscencje helleńskie. Sportowa nowoczesność zdecydowanie przygniotła zainteresowanie klasyką w dziedzinie sprawności fizycznej.

I właśnie spod presji tego, co się stało w Meksyku, trudno wydobyć się komukolwiek, kto posiadając jako taką sportową orientację pragnie ustalić swój stosunek do tego ostatniego, a najświetniejszego wydarzenia na sportowej arenie świata. Stało się coś, co zmusza do uznania za nieważne wszystkie bez mała dotychczasowe pewniki i kategorie, nicuje wszelkie dotychczasowe praktyki, ugruntowane przekonania o granicach i warunkach rekordu. Rekord uzyskany przed Meksykiem stawał się tam czymś w rodzaju domku z kart, który obalało pstryknięcie byle półfinału. By w finale zatriumfowała nowa niespodzianka tym razem oznaczona literami „MRO" i „MRM" na wielkiej tablicy wyników. Ale znów pytanie: na jak długo? Odnosiło się wrażenie, że wystarczyłoby dziewiętnaste igrzyska olimpijskie ponowić po jakiejś miesięcznej przerwie, a te wszystkie „MRM" przybrałyby się w nowe, jasne bardziej niewiarygodne cyfry. Stało się po prostu coś niemożliwego. Aż sprzecznego z prawami rzeczywistości!

Na przykład trójskok. Już samo 17,03 Schmidta jest czymś co może przyprawić — i zresztą przez osiem lat przyprawiało — o zawrót głowy. Kiedy więc Włoch Gentile poprawił to na 17,10, a następnie wywindował na 17,22, wydawało się, że sprawa jest definitywnie przypieczętowana. Któż mógł przypuszczać, że Saniejew z ZSRR skoczy 17,23, że Brazylijczyk Prudentio wydrze mu pewne już zwycięstwo skokiem 17,27, że Saniejew nie da sobie wydrzeć skacząc następnie 17,39. Czy Gentile pierwszy osiągając rewelacyjne 17,22 mógł żywić jakiekolwiek przypuszczenie, że to będzie „tylko" brązowy medal? A czy ktokolwiek przed olimpiadą mógł przewidzieć, że skok 17,12 w ogóle medalu nie przyniesie? Po raz pierwszy zdarzyło się, że w jednej i tej samej konkurencji, w jednym i tym samym dniu rekord świata został poprawiony aż pięciokrotnie!

A skok w dal na odległość 8,907 A 409 m z czasem 43,87 To już po prostu nie wymaga komentarza. Nic dziwnego, że Bogdan Tomaszewski nieustannie dławił się tym „naj", nie znajdując dla meksykańskich wyników adekwatnych określeń. Kiedy się myśli o nich, pod czaszką wytwarza się coś w rodzaju szoku grożącego w ogóle zaburzeniem czynności intelektualnych.

Zdobyliśmy się jednak na spokój. Co jest ich przyczyną? Niewątpliwie tartan. Weźmy pod uwagę, że w biegach średnich i długich do takich rewelacji nie doszło. Nie doszło tam, gdzie decyduje nie szybkość, lecz wytrzymałość, tartan więc potęgując pierwszą, a nie wpływając na drugą może tu być uważany za zasadniczy czynnik powodzenia. Czyli biegnący na tartanie — oddajmy sprawiedliwość — mogą być uważani za posiadający handicap w stosunku do biegających po tradycyjnym ubitym żwirze. Ponieważ jednak będzie on wcześniej, czy później w ogóle powszechnym materiałem bieżni, nie ma co kruszyć kopii o jakieś rozróżnienia, a czekajmy po prostu na wyrównanie.

Czekajmy na tartan w Polsce!

Co jednak już się narzuca jako konieczność do uwzględnienia, to wysokość nad poziom morza, na której odbywają się zawody. Wspomniał już o tym Witold Gierutto przekazując swoje wrażenia z Meksyku. Te przeszło dwa kilometry różnicy w stosunku do stadionów położonych na nizinach ma swoje znaczenie i w przyszłości powinno się wprowadzić tu odrębną klasyfikację. Jak odrębną klasyfikacją objęte są warunki panujące w hali, które się wyraźnie odgranicza w systematyce i nomenklaturze sportowej. Po prostu dla sprawiedliwości. Szybkość i skoczność na wyżynach przez różnicę przyciągania wzrasta, wytrzymałość przez niedotlenienie maleje. Tę zasadniczą okoliczność w przyszłości należy uwzględnić. Chyba że... Chyba, że za cztery lata w Monachium przeskoczy ktoś dziesięć, a trójskokiem przekroczy siedemnaście i pół metra. Wtedy wraz z meksykańskimi rekordami upadnie i ten wzgląd.

Co chyba jednak do przewidzenia nie jest. Aczkolwiek Meksyk pokazał, co się robi z przewidywaniami. Była tu wielka, po raz pierwszy w dziejach tak imponująca manifestacja sprawności fizycznej i z pełnym... podniecenym tą olimpiadą spokojem można mówić o nowej karcie w historii sportu. A właściwie o całym jej rozdziale. Pięć kół olimpijskich toczy się z coraz większą szybkością. Czy obejmą kiedyś i Księżyc?

Ijon

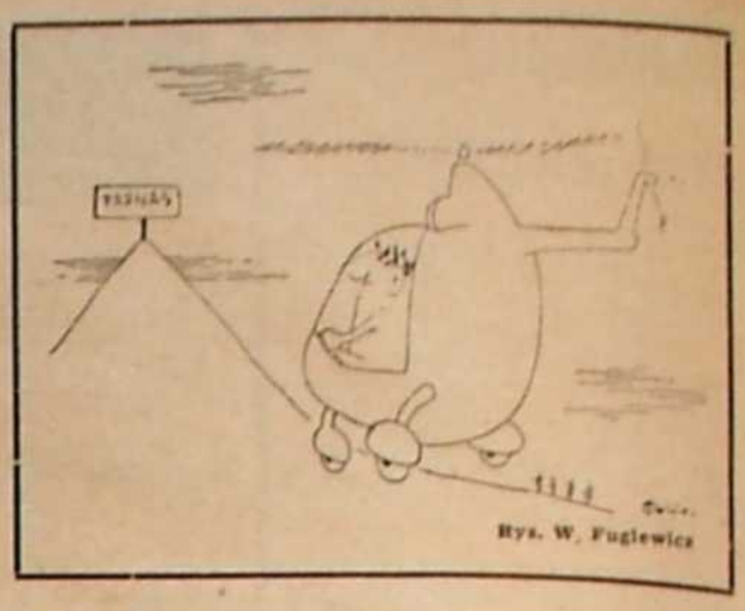

Rys. W. Fuglewicz

BIG-BEAT

Pojedynek: alkohol-wiersze

PANIE Redaktorze! Otrzymałem list od Stefana S. List ten przeleżał się u mnie co nieco, uważam jednak, że przemilczeć go nie należy. W kraju często odbywają się akademie organizowane z różnych okazji i to, o czym pisze Stefan, zawsze może być aktualne.

W konkretnym wypadku rzecz dotyczyła akademii, jaką z okazji 22 Lipca zorganizowano w Lubelskim Przedsiębiorstwie Budownictwa Przemysłowego przy ul. M. Skłodowskiej Curie.

„Sala powoli zapełnia się. W chwili rozpoczęcia akademii wszystkie miejsca są zajęte, zgromadziło się około dwustu osób. Z prezydium padają gorące słowa nagradzane oklaskami. Rozglądam się po sali i widzę, ile spojrzeń kieruje się ku nagrodom czekającym na zasłużonych pracowników. Tak, widzę, mimo że łydki mi się trzęsą, bo jestem tu jako recytator i mam umilić kochanym budowlańcom część artystyczną akademii. Wreszcie zaczyna się wręczanie nagród. Stają ludzie młodsi, starsi, ale przeważnie nie ci, którzy w czasie uroczystych przemówień patrzyli na stolik z nagrodami.

A potem... Potem sala gwałtownie pustoszeje. Koleżanki z zespołu są wyraźnie zawiedzione. Część artystyczna rozpoczyna się, ale dla kogo? Gra zespół bigbeatowy, dziewczyna „dziękuje inżynierom za mosty", ale gdzie są ci inżynierowie? Na sali siedzi dosłownie kilkanaście kobiet i paru mężczyzn. Za chwilę jest jeszcze mniej. W zespole popłoch. Widocznie dajemy chałturę, skoro wybredna publiczność woli opuścić świetlicę i ci, którzy zostają, nietłumionym szeptem obmawiają kolana recytatorek. Nikt nie chce słuchać przygotowanych przez długie tygodnie w „Gracji", LPBP, Zakładowym Domu Kultury „Azory", pięknych wierszy.

Nie koniec jednak. Na salę wkracza chwiejnym krokiem jakiś pan. Siada obok grupy zawzięcie dyskutujących kobiet i po chwili rozbawione towarzystwo nie pamięta o bożym świecie. Słychać śmiech, donośne słowa. Rezultat jest taki, że my, recytatorzy, denerwujemy się, mylimy strofy. Żeby wyjść z honorem, trzeba przyspieszyć akcję. Nie tylko nie chcą słuchać, ale i nam nie pozwalają się „wygadać". To boli".

Dalej Stefan żali się: „Po co nas zapraszają tam, gdzie nikogo wiersze nie obchodzą? Jak możemy spojrzeć w oczy zawiedzionej instruktorce, której za pracę włożoną w przygotowanie recytacji, nie ma nawet kto podziękować i wręczyć najskromniejszego kwiatka?".

Zespół opuszcza więc salę i wychodzi na ulicę. Ale...

„Wolnego! O n i nie chcą nas słuchać, ale my i c h musimy. Chcemy, czy nie chcemy. Tak samo musi i c h słuchać cała ulica, wszyscy przechodnie. Na pierwszym piętrze budynku administracyjnego rozlega się staropolska pijacka pieśń: „A kto z nami nie wypije, niech go dunder trzaśnie".

Stefan nie dociekа, za jakie pieniądze piją, zakładowe czy własne. Jest mu po prostu przykro, że zbojkotowano część artystyczną akademii, że salę opuścili nie tylko „szarzy" pracownicy, ale i kierownictwo LPBP, że pojedynek alkohol — wiersze zakończył się zwycięstwem ognistego płynu. Konkluzja jego rozważań jest taka: dorośli narzekają na młodzież, ale młodzież uczy się przecież od dorosłych. Niestety, ma ona wiele okazji, ku temu, aby nauczyć się złych rzeczy, złych obyczajów, a może po prostu — chamstwa.

No cóż — trudno nie zgodzić się ze Stefanem, który w innym miejscu swego listu opisuje rodzajowe scenki, jakie codziennie rozgrywają się przed barem „Litewskim" czy też przed restauracją „Nad Bystrzycą". Znamy je wszyscy dobrze, nie ma więc potrzeby cytować. Taki przykład dają starsi...

Ze smutkiem kończę, Panie Redaktorze. Mam nadzieję, że w LPBP przeczytają uwagi Stefana. Jeśli choć trochę się zawstydzą, autor listu będzie to mógł uważać za drobną satysfakcję.

Jacek

FELIETON Z REZERWY

Drugie małżeństwo Jacqueline'y

TO było bardzo ludzkie współczucie. Z całego świata otrzymała pani Kennedy listy, telegramy zawierające szczere kondolencje. Amerykanie opłakiwali śmierć swego prezydenta. Ona opłakiwała śmierć męża.

Czas goi najboleśniejsze rany. Minęło kilka lat od strzałów w Dallas i na łamach prasy amerykańskiej pojawiły się niedyskretne informacje mówiące o tym, że Jacqueline zamierza wyjść powtórnie za mąż. Niektórzy oburzali się, inni starali się udowodnić, że trzydziestokilkuletnia kobieta ma prawo ponownie ułożyć sobie życie. Nikt chyba jednak wówczas nie przypuszczał, że jej wybranym będzie grecki armator, Onassis, człowiek po sześćdziesiątce...

Miłość bywa ślepa. Między małżonkami może być i większa różnica wieku. W tym wypadku opinia amerykańska została jednak zaszokowana. Pani Kennedy cieszyła się wielką sympatią, pani Onassis nie cieszy się żadną.

II.

Onassis jest Grekiem. Przepowiadają, że może zostać prezydentem tego kraju po zniesieniu monarchii. Onassis ma pełną kieszeń. Pani Onassis jest wielokroć bogatsza niż pani Kennedy. Ale prasa podaje, że już nie będzie mogła spocząć po śmierci na cmentarzu Arlington obok swojego pierwszego męża.

W uroczystości weselnej uczestniczyła też córka Jacqueline'y i Johna. Dziennikarze, jak zwykle wścibscy, napisali, że wyglądała bardzo nieszczęśliwie. Pan Onassis osuszył może łzy dziewczynki, ciekawe, czy uda mu się zdobyć jej serce. Tak jak zdobył rękę Jacqueline'y...

III.

Amerykański dziennik „Washington Post" w artykule redakcyjnym komentuje decyzję rządu amerykańskiego o wznowieniu dostaw broni i sprzętu wojskowego dla Grecji. Pismo stwierdza, że „w imię obrony wolnego świata Waszyngton popiera rząd, który odmawia wolności własnemu społeczeństwu... Przez tego typu decyzję USA wypuściły z ręki dźwignię, przy której pomocy mogłyby zmusić juntę (wojskową w Grecji) do przywrócenia rządów demokratycznych".

Dziwne, że „Washington Post" tak się troszczy o rządy demokratyczne w Grecji. Świat dobrze wie, że Stany Zjednoczone wzięły na siebie rolę żandarma. Zadanie to nie należy ani do najwdzięczniejszych ani do najłatwiejszych. I sporo kosztuje amerykańskich podatników. Stany Zjednoczone są bogatym krajem, ale bogactwo nie jest równoznaczne z prestiżem. Krok Jacqueline'y prestiżu też nie podratował.

IV

Prasa amerykańska twierdzi, że gdyby żył Robert Kennedy, nigdy by nie dopuścił do takiego zamążpójścia Jacqueline'y. Robert podzielił jednak tragiczny los swego brata.

Trudno wyrokować, co by było, gdyby... W każdym razie cała ta historia zaszkodziła nieco demokratom i ich kandydatowi na prezydenta, Humphrey'owi. Może i Edward Kennedy stracił przy okazji na popularności. Bo w Stanach Zjednoczonych na życie prywatne pozostaje bardzo mały margines. Bulwarowa prasa potrafi rozdmuchać każdy drobny skandalik.

V

Aż dziwne, że i nas małżeństwo Jacqueline'y wywołało tyle komentarzy. Ludzie, zupełnie sobie nie znani, głośno dzielili się uwagami w trolejbusach, w pociągach, w kolejkach po mięso, w poczekalniach. Potępiano i dziwiono się. Dziwiono się, bo przecież każdy wie, że pani Kennedy nie miała... złych warunków materialnych.

Jeśli jednak Onassis rzeczywiście zostanie prezydentem Grecji, pani Jacqueline znów będzie panią prezydentową. Policyjnego państwa.

Na razie świat ma nową sensację. Przy okazji wszyscy mogą zastanawiać się nad niespodziankami, jakie przynosi ze sobą życie. Nawet to najbardziej osobiste. I tu nie ma żadnych reguł. Choć w tym wypadku jest może też schemat w milionowych rozmiarach. Szeleszczących...

MAJ

P.S. Z ostatniej chwili: Ach ten harmonogram druku „Kameny"! Hamilton już napisał w „Kulturze" na temat Jacqueline'y. Niestety, „Kamena" nie jest tygodnikiem...

Odpowiedzi redakcji

Jesień w pełni, a zima za pasem — przypuszczamy, że sympatycy „Kameny" mając na widoku długie wieczory jesienno-zimowe, sposobią się do radosnej twórczości, która będzie owocować w postaci „szczytu" korespondencji na naszych biurkach. Wszystkich, którzy sięgną po pióra z nadzieją ujrzenia na łamach naszego pisma owocu swoich zmagań z ogromną materią poetycką, postanowiliśmy nieco poinformować w zakresie szeregu warunków, jakich dopełnienia w takich wypadkach się domagamy: 1) pamiętać, że poza twórczością literacką istnieje szereg pożytecznych zajęć mogących sprawić większą satysfakcję, a mniej rozczarowań, 2) przed uzyskaniem matury nie wysyłać swoich wierszy i opowiadań do żadnego czasopisma, 3) nie powoływać się na literacki autorytet mamuś, cioć, znajomych i nieznajomych, 4) jeśli już się czyta literaturę, nie poprzestawać na XIX-wiecznych klasykach, 5) pamiętać, że rymowane deklaracje ideologiczne nie zawsze bywają poezją, 6) nie pisać: „żeka", tfurca", „pruhno" etc., 7) nie pisać: „wiosny powiew", „szczęścia granice", „kaskady uczuć" etc., 8) przysyłać wyłącznie pierwsze egzemplarze maszynopisu (i to bynajmniej nie jeden dwuwersetowy utwór z żądaniem ostatecznej „oceny talentu autora"), 9) nie żądać od redaktorów protekcji, pożyczek i osobistych audiencji, 10) pamiętać, że nie jest się jedynym korespondentem „Kameny", który chce się dowiedzieć, „czy pisać dalej?". Mamy nadzieję, że ten „dekalog" umożliwi Wam, Drodzy Korespondenci, pisanie, a nam czytanie Waszych utworów zbudowanych z kruszcu szlachetniejszego nawet niż złoto, które — jak wiadomo — jest kruszcem... milczenia.

D. K. w Chełmie Lubelskim. Pani opowiadanie nie podoba nam się i to aż z trzech powodów. Po pierwsze — za dużo tu bezpośredniego „filozofowania", bezpośredniej refleksji. Pani tylko m ó w i o pewnych sprawach, ale Pani ich nie p o k a z u j e (a to wielka różnica). Po drugie — samo „filozofowanie" nie wydaje nam się najwyższej próby, literatura musi wykraczać poza przeciętną refleksję, jaka każdemu z nas towarzyszy w trakcie jego zmagań z losem. Inaczej — każdy przeciętnie inteligentny człowiek mógłby zostać pisarzem, a tak oczywiście, nie jest. Po trzecie — ilustracja fabularna nie może udźwignąć szlachetnej myśli Pani, jest bowiem zbyt banalna i naiwna.

A. S. we Wrocławiu. Pański list jest najkrótszym pismem, jakie redakcja ostatnio otrzymała. **„Proszę ocenić".** Kropka. Lubimy czasem trochę więcej wiedzieć o autorach, ale trudno, tym razem i bez tego chętnie odpowiadamy, bo Pańskie wiersze są t y p o w y m przykładem niezbyt dobrej roboty. W zasadzie nie orientuje się Pan jeszcze (choćby intuicyjnie) czym najogólniej jest poezja, toteż pisze Pan raczej małe etiudki prozatorskie, niezbyt zresztą ciekawe i nie wiadomo dlaczego „rozproszone" w wersety: **„rzucasz / kalumnie w złości / czekasz w rozterce /** itd. Tam natomiast, gdzie usiłuje Pan być poetą, jest Pan tylko naiwny i niezdarny: **„odmęty losu", „oscylacyjny rytm historii", „ogrom wszechświata", „dno absurdu"...**

A. R. w Lublinie. Razi nas „turpistyczna" metaforyka Pańskich wierszy (**„modlisz się w przegniłe dłonie", „twarz zanurzona w mule"** etc.) Sporo młodzieńczości w Pańskiej poezji — czyli sporo naiwności. Dobry pomysł ma wiersz drugi. W sumie — za mało materiału na wyczerpującą ocenę. W każdym razie grafomanem Pan nie jest.

J. Z. w Balicach. Znaleźliśmy w Pani wierszykach jakąś wielce sympatyczną i rozbrajającą nutę. Poezję często przyrównuje się do kwiatów. W tym kontekście wiersze Pani uznajemy za „pierwiosnki". Kwiaty b. sympatyczne, ale będące dopiero zapowiedzią pory poetyckich wzlotów. Czyli — długa jeszcze droga przed Panią. A może lepiej kontentować się cudzą, dobrą poezją — też wielka satysfakcja.

CZAS ZAPRENUMEROWAĆ „KAMENĘ"

Jan Sztaudynger

Fraszki lubelskie

ŁADNA DZIEWCZYNA

Jak ładna dziewczyna
To pewnie z Lublina!

POSZUKIWACZOM ZŁOTA

Jak ci wzbogacić zrodzi się ochota,
Jedź do Lublina! Tu ulica Złota!

OBRYWAJĄC PŁATKI RUMIANKA

Lubię, kocham, szanuję,
To wszystko do Lublina czuję.

NA KAMIENNEGO LEWKA

Tu nawet lwy, gdy ryczą,
Robią to cicho i z wielką słodyczą.

WSPOMNIENIE

Tu pod krakowską bramą
Z pewną młodą damą
Odmieniałem słówko „amo".

GDY TU...

Gdy tu zachwyci cię dziewczyńskie cielsko,
Poproś najskromniej o „Unię Lubelską"!

LEPIEJ

Lepiej do szyi związać kamień młyński
Niż się narazić opinii lublińskiej.

Pisane pewnej nocy, gdy z Lublina nadawano radiowy program nocny.

POSTE-RESTANTE

Nazwa naszej rubryki POSTE-RESTANTE posiada znaczenie dosłowne: poczta zostająca, czyli te nadesłane do redakcji utwory, których — z prawdziwym żalem — nie mogliśmy zmieścić w numerze, ale które — z prawdziwą satysfakcją — wybraliśmy do publikacji w tej rubryce. Przypominamy, że w Poste-Restante honorarium nie płacimy.

Tym razem rubryka nasza będzie mieć charakter monograficzny. Poświęcamy ją w całości jednej autorce, która wprawdzie ma dopiero lat siedemnaście, ale pisarskie doświadczenie posiada niebagatelne. „Pierwszy wiersz napisałam mając lat jedenaście" — informuje nas Panna Agnieszka z Radomia. Ze swej strony zachęcamy naszą młodzież i naszą dziatwę szkolną do gorliwych i wielostronnych kontaktów z poezją. Nie ustawajcie, drodzy, w twórczych wysiłkach, nie ustawajcie... A oto próbka talentu Panny Agnieszki:

OSZCZĘDZAJ W SOP

Każdy lubi podróżować,
chciałby zwiedzać obce kraje,
ale sprawa finansowa
spać nocami mu nie daje.

Rety, ludzie! Co się dzieje?
Gdzież plik cały mych banknotów?
Chyba wzięli mi złodzieje,
robiąc przy tym moc kłopotu.

Skrzętnie pieniądze zbierałem,
od grosika do złotówki,
spodnie robocze łatałem,
do butów biłem zelówki.

Teraz ktoś był aż tak podły,
— zabrał cały mój majątek,
zostałem się prawie goły,
nie licząc małych prosiątek.

A teraz cichutko płaczę,
aby sąsiad nie usłyszał,
bo gdyby mnie ktoś zobaczył,
to by się wtedy ze mnie śmiał.

Miałby facet słuszną rację,
on w SOP-ie oszczędza ładnie,
ma spokojne wszystkie noce,
nikt mu grosza nie ukradnie.

Ja jego pójdę przykładem,
książeczkę SOP-u założę,
do miasta zaraz pojadę,
tylko zrewiduję łoże.

Żona tam pończochę chowa,
a w niej pewnie z 1000 złotych.
tamtych nie ma co żałować,
tylko wziąć się do roboty.

Wszystkie moje oszczędności,
złożę na książeczkę SOP-u,
i od nieproszonych gości
będę miał zupełny spokój.

(Fragment większej całości)

A mówią, że nasza młodzież to wartogłowy i utracjusze!

Władysław Katarzyński

AFORYZMY

Jeden bałwan nie tworzy „nowej fali".
Żywemu też potrzebne kadzidło.
Wdrapując się na piedestał uważaj, aby nie zatrzeć napisu.
Nie kracz. I tak nie wezmą cię za białego kruka.
Pewien kąt napisał „Żywoty świętych".